NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 27 maja 1911. Nr. 21.

Ohydny mord w Krakowie.

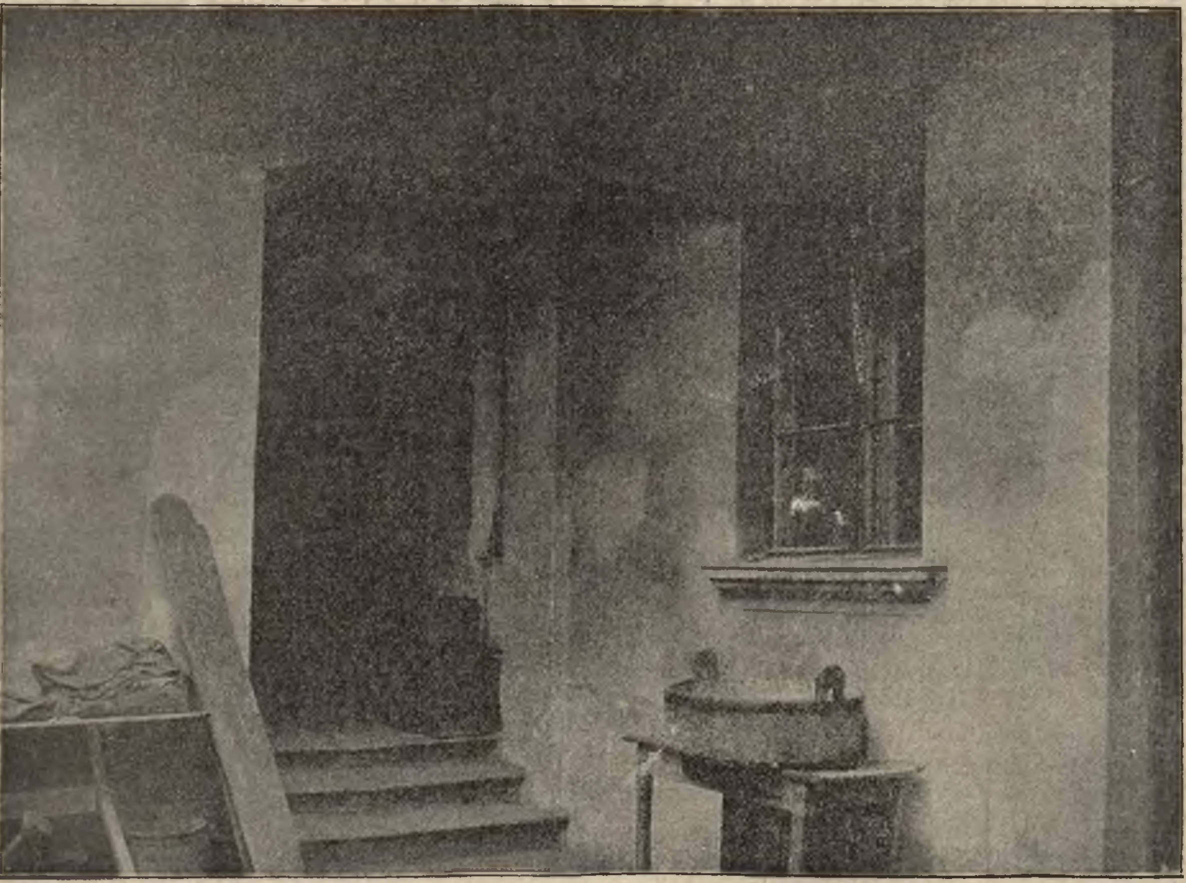
(Treść na str. 2).



Ohydny mord w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotograficznych).

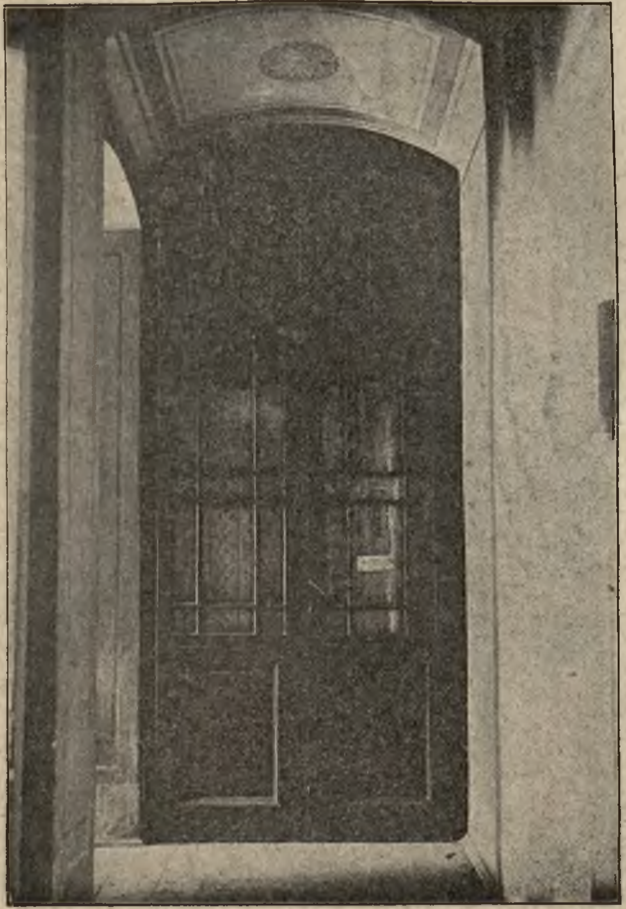
Kraków jest od kilku dni pod wrażeniem ohydnej, okrutnej zbrodni, spełnionej z wyrafinowaną premedytacyą na osobie sędziwej staruszki ś. p. Wincencyi Sienickiej, zamieszkałej w domu pod L. 27 przy ulicy Szlak. S. p. Sienicka, wdowa po urzędniku podatkowym, właścicielka kamienicy przy ul. Sławkowskiej, żyła w zupełnej samotności, bardzo oszczędnie, stąd też uchodziła w opinii sąsiadów za osobę ogromnie zamożną. I zdaje się, że ta okoliczność stała się przyczyną jej tragicznej śmierci.



Ohydny mord w Krakowie: Widok okna kuchni, zasłoniętego ciemną materyą; na lewo wejście do mieszkania stróżów Kuzarów.

Zbrodnię spełniono wieczór we wtorek ubiegłego tygodnia, w chwili gdy ś. p. Sienicka wróciła do domu z miasta. Zaczajony w kuchence, czekał na nią morderca, czy mordercy i w chwili gdy staruszka stanęła na progu kuchni, kilku uderzeniami siekiery zamordował ją. Następnie przeszukał zbrodniarz wszystkie schowki w kuchni, spodziewając się znaleść tam większą gotówkę. O ile poszukiwanie to powiodło się, niepodobna na razie stwierdzić, gdyż nikt, nawet najbliższa rodzina niema pojęcia, jaką gotówkę ś. p. Sienicka w domu przechowywała.

Wykrycie mordu nastąpiło dopiero w nocy z środy na czwartek, gdy zwrócono uwagę na kartkę przylepioną do okna drzwi a zawiadamiającą o wyjeździe ś. p. Sienickiej na dni kilka. Ponieważ zawiadomienie w tej formie wydało się właścicielowi kamienicy podejrzane, odniesiono się do córki ś. p. Sienickiej, p. Leniekowej w Tarnowie z zapytaniem, czy matka tam bawi. Na skutek tego zapytania p. Leniekowa niezwłocznie przybyła do Krakowa i wówczas znaleziono zwłoki ofiary zbrodni. Zawiadomiona natychmiast o ohydnym mordzie policya krakowska wzięła się energicznie do wytropienia sprawcy względnie sprawców zbrodni, a równocześnie przystąpił do pracy sędzia śledczy dr. Neusser, oraz prokuratorya państwa.



Ohydny mord w Krakowie: Drzwi do mieszkania ś. p. Sienickiej. Na szybie kartka z napisem: „Wyjechałam na kilka dni“.



Ohydny mord w Krakowie: Wnętrze kuchni, gdzie dokonano zbrodni morderstwa.

Nie ulega wątpliwości, że zbrodnię popełnić mógł tylko ktoś bardzo szczegółowo o trybie życia i zwyczajach ś. p. Sienickiej poinformowany. Stąd też podejrzenia skierowano na koło najbliższych sąsiadów ofiary, przedewszystkiem na osoby stróża i stróżowej Kuzarów, których mieszkanie przytyka do kuchenki ś. p. Sienickiej, gdzie zbrodnia została spełniona.

Motywem zbrodni była niewątpliwie chęć zrabowania gotówki, jaką spodziewali się znaleść w mieszkaniu ofiary zbrodniarze. Mniej prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, iż działała tu złość względnie zemsta, a słowa „zabiłam ze złości“, napisane na odwrotnej stronie kartki z zawiadomieniem o wyjeździe ś. p. Sienickiej i przylepionej do drzwi, miały — zdaje się — na celu skierowanie śledztwa na fałszywą drogę.

Dotychczasowe śledztwo nagromadziło sporo poszlak, przemawiających przeciw stróżce Kuzarowej, którą też wraz z mężem aresztowano, brak jednak dotychczas ostatecznego dowodu winy. Być może, że w chwili, gdy numer niniejszy znajdzie się w rękach Czytelników, sprawa będzie wyjaśniona a mordercy w rękach sprawiedliwości.

Komisarz policyi Krupiński, przy pomocy sztabu ajentów z inspektorem B. Karczem na czele, pracuje z niesłabnącą energią nad rozwiązaniem smutnej zagadki, a wierzyć należy, że usiłowania te uwieńczy pomyślny skutek.

Nasza rycina tytułowa przedstawia chwilę, gdy zawiadomiona o wykryciu zbrodni policya znalazła się na miejscu czynu.

Ponadto zamieszczamy szereg zdjęć fotograficznych, odnoszących się do ohydnego mordu.

Nowa kolej lokalna.

Jedno z najpiękniej położonych i najpopularniejszych zdrojowisk galicyjskich, znana powszechnie Krynica, doczekała się wreszcie połączenia kolejowego, o które od dawna starały się sfery interesowane.

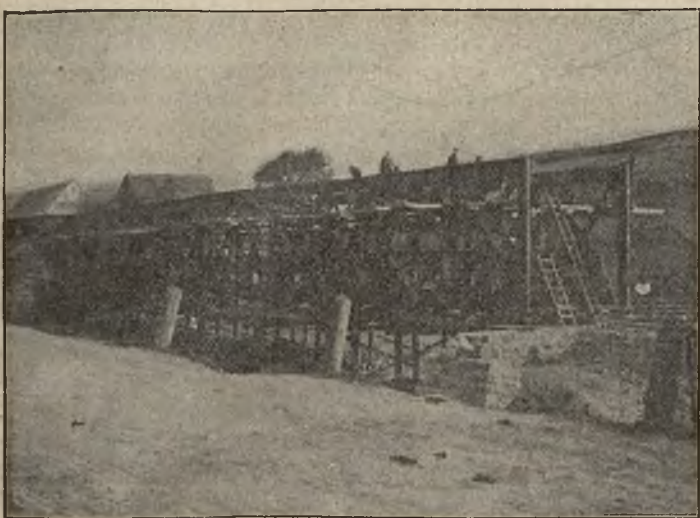
Dotychczas musieli kuracyusze, szukający ratunku u dobroczynnych wód krynickich, odbywać daleką drogę od Muszyny, najbliższej stacyi kolejowej na linii Tarnów-Orłów, trzęsącemi, niewygodnemi, ale za to drogiemi dorożkami. Był to jedyny środek komunikacyjny między linią kolei żelaznej, a Krynicą, środek, który niejednego potrafił odstraszyć od podróży do uroczego uzdrowiska.

Dalszą konsekwencyą braku połączenia kolejowego w Krynicy była niesłychana drożyzna, dowóz bowiem wszelkich towarów był i trudny i kosztowny. Wszystko to odstraszało często publiczność naszą od pobytu w Krynicy, a kierowało ją do badów zagranicznych, choć pod względem skuteczności wód leczniczych nie mogły się one równać z tą „królową zdrojowisk polskich“.

Nowa linia kolei lokalnej, prowadząca z Muszyny do Krynicy, zbudowana została kosztem kraju pod kierunkiem Wydziału krajowego. Linia ta została właśnie wykończona i w ostatnich dniach maja zo-

stanie uroczyście otwarta. Ustalenie terminu otwarcia nastąpiło w czasie komisyi techniczno policyjnej przy udziale przedstawicieli władz centralnych kolejowych i krajowych.

Pierwszy pociąg robotniczy stanął na stacyi w Krynicy dnia 12 b. m. Zdjęcie fotograficzne tego pociągu zamieszczamy w dzisiejszym numerze, wraz z zdjęciem dworca w Krynicy, oraz budowy pięknego mostu na potoku „Muszynka".



Nowa kolej lokalna: Budowa mostu na potoku „Muszynka"

Próby użycia aeroplanów przeciw okrętom wojennym.

(Do illustracyi na str. 10).

Za swoją piętę Achillesową uważają Anglicy brak silnej armii lądowej, nie mogą jednak zdecydować się na wprowadzenie powszechnej wojskowej służby. Natomiast dokładają wszelkich starań, ażeby prawdopodobieństwo najazdu na ich kraj sprowadzić do zera. Flota angielska mogłaby stawić czoło zjednoczonym siłom morskim całej Europy, mimo to nie szczędzi Wielka Brytania dalszych na nią wydatków. Od chwili zaś, w której aeronautyka przestała być naukową zabawką, robią Anglicy liczne próby zastosowania jej do celów militarnych.

Zajmuje się tem specyalna komisya, wybrana przez parlament, a zwana komisyą powietrznej obrony. Dla wykazania rezultatów swej działalności, urządziła ona niedawno popis awiatorów, na który zaproszono ministrów i członków obu izb. Obecne były też niektóre osoby z rodziny królewskiej.

Ćwiczenia „floty powietrznej" udały się znakomicie, a kilku wybitnych parlamentarzystów nie wahało się towarzyszyć lotnikom. Tak np. przewódca opozycyi, mr. Balfour trzykrotnie okrążył pole ćwiczeń, jako pasażer Grahame-White'a. Wogóle Grahame-White był bohaterem dnia i odznaczył się zwłaszcza celnem rzucaniem pocisków z aeroplanu.

Ażeby dostarczyć celu tym pociskom, wymalowano na polu kilka figur, mających oznaczać pokłady dreadnoughtów tak, jak je widać z aeroplanów. W środku tych figur umieszczono jeszcze mniejsze kółka, a lotnicy starali się trafiać w nie podczas zwolnionego nieco ruchu aparatów. Za kule służyły im przeważnie pomarańcze. Rzucano także worki z nieszkodliwym materyałem wybuchowym, a dostojna publiczność z zadowoleniem przyglądała się tym ogniom sztucznym.

Grahame-White kilkakrotnie trafił w pole, mierzące 12 stóp kwadratowych, szybując w powietrzu na wysokości 500—600 stóp z szybkością 45 mil ang. (9 mil geogr.) na godzinę. Inny lotnik, Paterson, trafił w ten cel z wysokości 1000 stóp, jakkolwiek naogół mniej był pewny swoich rzutów.

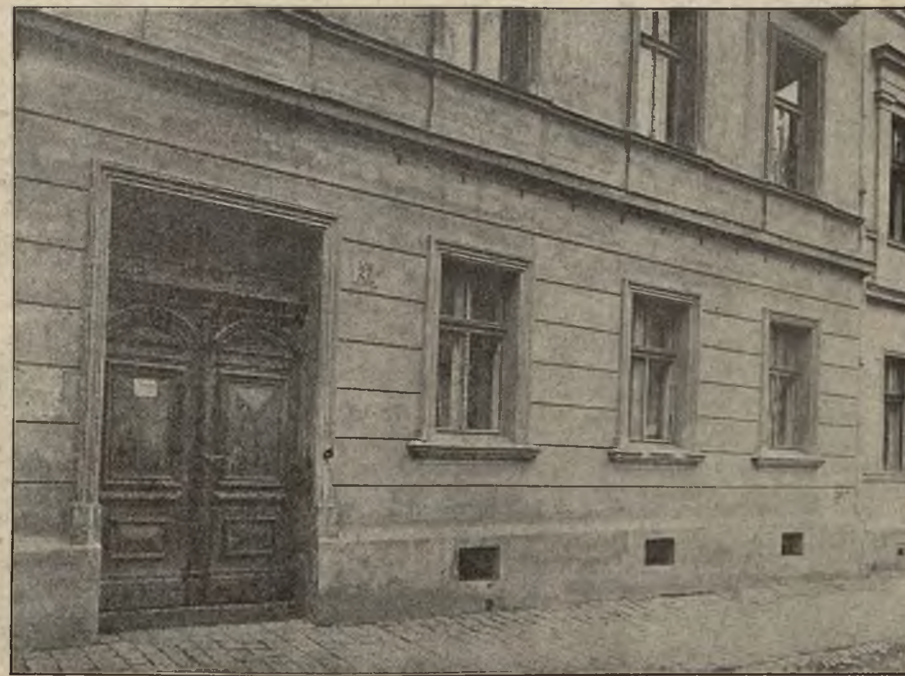
Dla objaśnienia załączonej fotografii dodajemy, że zdjęto ją z aeroplanu i wskutek tego widać na niej dolną część aparatu. Odległość od ziemi nie mogła z natury rzeczy na fotografii odpowiadać rzeczywistości.

Korso kwiatowe G. K. A.

Galicyjski klub automobilowy wziął sobie za zadanie oswoić naszą publiczność z użyciem samochodu, który dotąd uchodzi u nas prawie wyłącznie za modną i kosztowną rozrywkę, podczas gdy na zachodzie przedstawia on już wygodny i szybki środek komunikacyjny. Do tej popularyzacyi samochodu przyczyni się zapewne świetne korso kwiatowe, urządzone przez klub w zeszłą niedzielę we Lwowie.

Korso wypadło świetnie, mimo niezbyt sprzyjającej pogody. Szereg wspaniale przystrojonych automobilów wyruszył z przed gmachu sejmowego i okrążył główne ulice miasta, obserwowany przez tłumnie zgromadzoną publiczność, która napawała oczy prawdziwą orgią barw i odcieniów i była w prawdziwym kłopocie, komu oddać palmę pierwszeństwa. Prócz samochodów brały udział w korsie także udekorowane powozy, a prezesa G. K. C. eskortowała grupa cyklistów, na przystrojonych malowniczo maszynach.

Na ulicach odbywała się w dniu korsa sprzedaż



Ohydny mord w Krakowie: Widok mieszkania ś. p. Sienickiej w domu pod L. 27 przy ul. Szlak



Wycieczka uczniów szkoły górniczej: Uczniowie pierwszej polskiej szkoły górniczej w Dąbrowie na Śląsku w czasie wycieczki w Borysławiu.

(Fot. W. Selinger, Borysław).



Proces o morderstwo z miłości: Trybunał, prowadzący rozprawę przeciw Kazimierzowi Lewickiemu o zamordowanie ś. p. Ogińskiej-Szenderowiczowej; u góry na prawo portret mordercy. (Fot. M. Münz, Lwów).

kwiatów na cele dobroczynne. Dzięki przystępnym cenom popyt był ogromny i można przypuszczać, że dochód okaże się wcale pokaźnym.

Załączamy trzy zdjęcia fotograficzne. Jedno z nich przedstawia automobil, drugie powóz; trzecie grupę cyklistów. Szkoda tylko, że klisza nie może jeszcze odtworzyć barwy przedmiotu, gdyż dopiero taka fotografia dałaby czytelnikom naszym wyobrażenie o malowniczości niedzielnej zabawy we Lwowie.

Proces o morderstwo z miłości.

W poniedziałek rozpoczęła się we Lwowie przed przysięgłymi rozprawa przeciwko Kazimierzowi Lewickiemu, który 23 grudnia r. z. pozbawił życia ś. p. Antoninę Ogińską, artystkę tamtejszej sceny. Sam fakt jest dostatecznie stwierdzony obok innych dowodów zeznaniami samego oskarżonego. Stwierdzone również są motywa czynu, które przedstawiają się, jak następuje.

Lewicki od lat trzech pozostawał ze swą ofiarą w stosunku miłosnym. Doszło do tego, że myśl poślubienia kobiety o 12 lat starszej i od 10 lat zamężnej za człowiekiem, który ją gorąco kochał, stała się dla niego pewnym rodzajem *idée fixe*. Plan ten natrafił jednak na opór ze strony samej Ogińskiej, która zapewne po pierwszych uniesieniach stosunku miłosnego poznała nicość moralną kochanka i — być może — dowiedziała się także o plamach na jego przeszłości. Wiadomo bowiem, że Lewicki kilkakrotnie fałszował świadectwa gimnazyalne dla uzyskania wstępu do wyższych zakładów naukowych.

W ten sposób wytworzył się stosunek dziwny i nadzwyczaj przykry. Lewicki dręczył kochankę scenami zazdrości, ponawiał żądania stanowczej rozmowy z mężem i posuwał się do gróźb. Nieszczęśliwa kobieta, pokutująca bardzo gorzko za krok fałszywy, doszła do takiego stopnia rozdrażnienia i trwogi, że popełniła zamach samobójczy. Gdy ten się nie udał, wyznała wreszcie wszystko mężowi, wyrażając żal za swój postępek i dodając, że nie myśli go „opuszczać dla tego łotra".

Wówczas Lewicki sam udał się do małżonka Ogińskiej i zażądał od niego rozwiedzenia się z nią. Otrzymawszy odpowiedź odmowną, zarzucił mu, że „stawia jej katafalk w domu".

W trzy dni potem nastąpiła katastrofa. Lewicki trzema strzałami rewolwerowymi zamordował Ogińską w swem mieszkaniu — wedle swego twierdzenia w stanie wprost nieprzytomnym, w pozbawiającem go świadomości podnieceniu — wedle wyników śledztwa z planem i premedytacyą. Materyał dowodowy stanowią zeznania świadków, którzy słyszeli, jak oskarżony zapowiadał w tonie groźnym to, co ma zajść. Wielkiej wagi jest również świadectwo jego służącego, któremu wydał rozporządzenie na wypadek rewizyi sądowej. Przed jednym ze znajomych mówił nawet Lewicki o prawdopodobieństwie stawania przed sądem.



Nowa kolej lokalna: Pierwszy pociąg robotniczy na dworcu w Krynicy

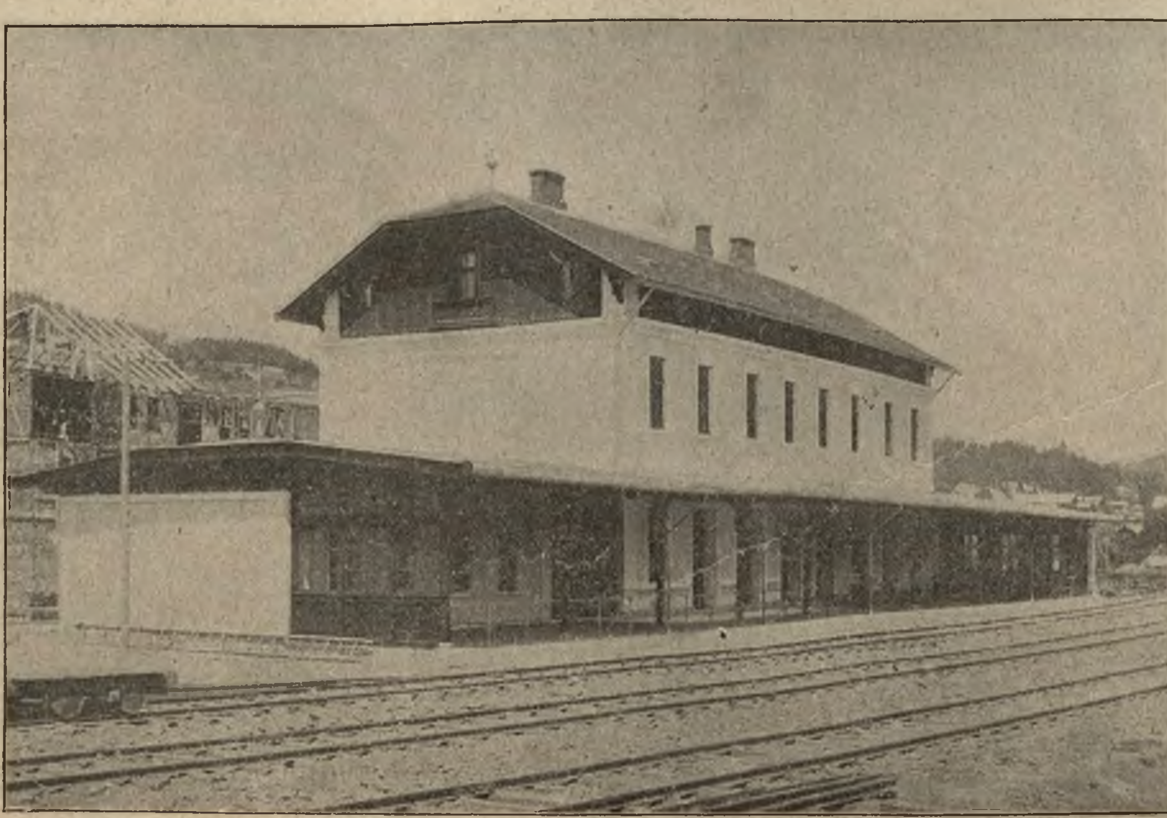
Po dokonaniu zbrodni udał się jej sprawca do mieszkania brata i sucho opowiedział mu o fakcie. Rodzina natychmiast umieściła go w zakładzie dla nerwowo chorych, a następnie uwiadomiła o wszystkiem policyę, która Lewickiego aresztowała.

Z tego krótkiego zestawienia wypadków widzimy, że proces będzie miał podkład głównie psychologiczny. Szczegóły są sprawdzone i pewne, chyba sama scena zbrodni pozostawia wątpliwości, gdyż zeznań samego oskarżonego sprawdzić nie można. Natomiast zadaniem sędziów jest dociec, czy zaszło tu morderstwo, czy zabójstwo i czy Lewicki jest człowiekiem normalnym. A zadanie to niełatwe, gdyż właśnie moralna strona sprawy jest o tyle skomplikowana, o ile fizyczna prosta i już wyświetlona.

Trudne więc, bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie czeka ławę przysięgłych, jeśli ma wydać wyrok istotnie sprawiedliwy. Na szczęście sprawa dostała się przed sąd ludzi inteligentnych, dojrzałych i niezależnych.

Ława przysięgłych, wylosowana do rozprawy przeciw K. Lewickiemu, daje też pełną rękojmię, iż sprawę pogłębi należycie i zawyrokuje tak, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Dodać należy, że ze względu na drastyczne szczegóły wykluczono jawność na czas przesłuchania podsądnego i oglądania lic sądowych. Reszta rozprawy będzie prawdopodobnie publiczna.



Nowa kolej lokalna; Widok nowego dworca w Krynicy.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

21

— Nie masz pan czego wykrzykiwać. Minęły już te burżujskie czasy, gdy kobiety wychowywano na gąski, na faryzeuszki. Ja jestem człowiekiem, znam prawa natury i wielbię je...

— No, no, no!

— Pańskie no, no, no! i miny faryzeuszowskiego oburzenia wcale mnie z tropu nie zbijają, żebyś pan wiedział. Ale wróćmy do rzeczy. Wszyscy wiedzą w całej okolicy o tem, że moja mama była... jakby to powiedzieć, żeby pańskiej burżujskiej obłudy nie urazić... była żoną z lewej ręki nieboszczyka pana Teodora Kozłowskiego i ja jestem owocem tego związku.

Stanisław podparł ręką głowę i ciekawie przypatrywał się tej dziewczynie, nie liczącej więcej niż 18 lat, która zarumieniona, z oczami pałającemi żarem uniesienia, z piersią falującą pod stanikiem, wygłaszała te słowa, że jest owocem nieprawego związku swej matki. Uśmiechnął się na te wyrazy i rzekł z lekkim odcieniem szyderstwa:

— Co prawda, owoc jest ładny, ale osobliwszy.

Zarumieniła się jeszcze mocniej i zawołała:

— Och, wcale mnie to nie obchodzi, co pan o mnie sądzi i zabraniam panu przemawiać do mnie burżujskimi komplementami...

— Ależ to nie jest komplement i co to ma za związek z burżujstwem, nie pojmuję. Dlatego, że mówię pani, iż jesteś ładna, to mam być zaraz burżujem?

— Nie jesteś pan burżujem, ale za to obrzydliwym samcem.

Stanisław roześmiał się głośno i zawołał:

— Słowo daję, że paradne! Dawno już tak się nie bawiłem.

I śmiał się i przypatrywał się dziewczynie, której w rzeczy samej z tym zapałem i ognistem uniesieniem było bardzo do twarzy. Na ostatnią uwagę młodego człowieka oburzyła się:

— Ja tu nie rozmawiam z panem, żeby go bawić, bo ja nie jestem dla zabawki wstrętnych samców, ale chcę wyjaśnić moje stanowisko w tym domu i moje prawa.

— Zdaje mi się, że one są bardzo wątpliwe.

— Naturalnie, jakżeby było inaczej? Dlatego, że według waszych burżujskich przepisów jakiś zatabaczony pała nie dał ślubu w kościele mej matce, dlatego ja jestem pozbawiona dziedzictwa po moim ojcu, ja, jedyne jego dziecko.

— Hm, przyznaję, że to są burżuiskie przepisy, ale zdaje mi się, że kwestya dziedziczenia fortuny po ojcu także podług nowszych teoryi pachnie burżujstwem. Skoro wszystko odrzucamy, to i to odrzucić należy.

Mówił to lekkim tonem, na pół szyderskim, który panna Aniela zauważyła i z gniewem zawołała:

— Proszę pana zaniechać tego tonu szyderskiego, który mi się wydaje wysoce nieprzyzwoitym i mówić ze mną poważnie. Nie siedzę tutaj, by z panem toczyć rozprawy o nowych teoryach, ale mówię o interesie.

Wyprostował się, przestał na nią patrzeć i rzekł:

— Dobrze, mówmy o interesie. Pani twierdzisz, że brak dokumentu ślubnego nie unicestwia prawa pani do dziedzictwa po moim stryju. Niestety! unicestwia je zupełnie. Takie jest prawo, złe, nie przeczę, ale jest i ani ja, ani pani nic na to nie poradzimy. Pani możesz mieć tylko pretensyę do swej mamy, że się tak niefortunnie urządziła, no... i do nieboszczyka stryja, że nie postarał się ulegalizować tego związku.

— Nie mam żadnych pretensyi do mej mamy, nie mam jej wcale za złe, że uległa prawom natury, nie oglądając się na głupie, burżujskie prawa ludzkie. Kwestyą ulegalizowania tego związku, jak to pan nazywasz, powinien był zająć się mój ojciec, a pański stryj. Moja mama nie mogła tego zrobić. Jest to kobieta wychowana w tradycyach średniowiecznych, obecny ustrój społeczny wydaje jej się doskonałością, a pożycie swe z nieboszczykiem uważa za grzech, który odpokutować należy. Jednem słowem jest to wasza dawna kobieta — gęś, nic więcej, choć dobra i miła... Ona myśli nie o swych niezaprzeczonych prawach, ale o pokucie za to, że zadość uczyniła prawom natury, że się oddała samcowi bez aprobaty księdza proboszcza. Doprawdy można pękać ze śmiechu...

— Hm! i pani, panno Anielo, tak mówisz o tych prawach natury, o oddaniu samcowi... pani — panna, a ja młody człowiek?

— Pan może chcesz, żebym raczka spiekła? wiem, że się to podoba samcom, bo im się zawsze zdaje, że oni są wybrani, oni są pierwsi, a tymczasem zwykle mieli poprzedników...

— Osobliwość, słowo daję, osobliwość. I to wszystkie nowoczesne panny w Polsce są takie, jak pani, panno Anielo?

— Tego nie wiem, ale wiem, że takiemi być powinny. Jest to jedyna droga pokazania wstrętnemu samcowi, że się wie, kto on jest i czego chce.

— A czegóż on chce? Radbym się dowiedzieć.

Zarumieniła się po same białka oczu i zapewne wstydząc się tego rumieńca, ona, kobieta-człowiek, odwróciła się i rzekła:

— To do rzeczy nie należy. Mówmy o interesie.

— Dobrze, mówmy o interesie. Cóż pani chce?

— Chcę i proszę pana, żebyś w razie, gdy mi mój ojciec nic nie zapisał, żebyś się wobec sukcesorów upomniał o to.

— Żebym ja się upomniał?

— Tak! a może pan nie chcesz? Lękasz się uszczuplić swego spadku?

— Pani wiesz dobrze, że nie. Nic dbam o pieniądze, ale jakiem prawem, z jakiego tytułu ja mam wystąpić z taką osobliwszą propozycyą? A przytem nie znam wszystkich swoich krewnych, ale znam dobrze kupca Millera, męża ciotki Filomeny i jestem pewny, że grosza nie da sobie wydrzeć z przypadającej nań sukcesyi.

— Mniejsza o to, skoro pan nie chcesz, to ja sama to zrobię.

— Pani to zrobisz? pani głośno powiesz, że jesteś córką... nieślubną mego stryja, że pani mama była jego...

— Nałożnicą... dokończ pan, nie wstydź się, bo ja się wcale nie wstydzę. Niema nałożnic wobec praw natury, są tylko kobiety, oddające się zgodnie z temi prawami mężczyźnie. Tak panie, ja to powiem, przy wszystkich waszych burżujach to powiem, ja, kobieta postępowa, kobieta nowa, kobieta przyszłości...

Chciała jeszcze coś mówić, gdy nagle na ścieżce ukazał się Orczykiewicz. Szedł śpiesznie, zadyszany i spocony mocno i ujrzawszy pana Stanisława i panienkę na werandzie, zdjął z głowy kapelusz i stanął, czekając na zapytanie.

— Co tam, Błażeju, czego chcecie?

— Mam paniczowi coś rzec.

— Cóż takiego, gadaj!

— Mogę to tylko paniczowi samemu powiedzieć.

— Odchodzę! — zawołała Anielka i zgarnąwszy swą suknię, krokiem elastycznym wyszła z werandy w głąb mieszkania. Stanisław patrzył na nią, na jej figurkę zgrabną, ruchy elastyczne i pełne wdzięku niewieściego i westchnął żałośliwie.

III.

— Cóż mi powiesz, Błażeju? — zapytał pan Stanisław Orczykiewicza, gdy zgrabna figurka panny Anieli znikła w głębi mieszkania.

Błażej podrapał się po głowie, obejrzał dookoła i rzekł głosem przyciszonym:

— Możeby panicz zeszli do ogrodu, bo tu jeszcze kto usłyszy.

— Tu niema nikogo.

— Ale i ściany mają uszy, niech panicz zejdą!

Podniósł się Stanisław w milczeniu i ruszył za Błażejem na wysypaną żwirem i piaskiem ścieżkę i gdy odeszli od werandy tyle, że nikt nie mógł ich usłyszeć, Błażej począł opowiadać swą dzisiejszą przygodę poranną, jak wypędził owce na ugorzysko pod lasem, bo tam teraz urosła najlepsza w całych Górach macierzanka duszka i jak Wojtek odkrył w wypróchniałej dziupli starej wierzby kościotrupa.

Stanisław, który z początku dość obojętnie a nawet z pewną niechęcią słuchał opowiadania Błażeja, przypuszczając z góry, że go jakąś sprawą gospodarską nudzić będzie, teraz okazał żywe zainteresowanie:

— Kościotrupa! co za kościotrupa? — pytał.

Błażej obejrzał się z bliska i począł mówić szeptem.

— Tak, kościotrupa, ale co on za jeden, bo wiem ja to? ale to pewne, że ten biedak pochodzi z tamtych czasów... panicz wie!... panicza wtedy jeszcze nie było na świecie, ale ja już byłem dorosłym parobkiem i pamiętam, jak na ugorzysku pod lasem, kole bagna i rzeczki... no... panicz wiedzą...

— Ale skądże się wziął ten kościotrup w dziupli starej wierzby? Rzecz niesłychana...

— Powiadam paniczowi, że to z tamtych czasów. Biedaczysko schronił się na wierzbę, bo przecież przed czterdziestu laty, ja sam pamiętam dobrze, nie była ona taka spróchniała, jak dziś i miała piękną koronę z liści. Ale może mu się wydawało, że to schronienie nie jest dość przezpieczne, może też środek pnia, jako to wierzby gniją zawdy od środka, zawalił się pod nim, dość że wpadł do środka i już wydostać się stamtąd nie mógł i tak zamarł biedaczysko, chudzina nieszczęśliwa...

— Hm! Wszystko to mogło być, ale może też jest zwyczajna zbrodnia. Ktoś kogoś zamordował i dla zatarcia śladów trupa wsadził w pustą dziuplę starej wierzby. Trzeba o tem dać znać do wójta.

— Do wójta? a to po co? panicz myślą, że to zwyczajna zbrodnia, a ja pedam, że to z tamtych czasów...

— Skądże masz taką pewność?

— Bo tam jest karabin.

— Karabin?

— Tak — tu obejrzał się Błażej ostrożnie i szeptem dodał — a w tych czasach niespokojnych karabin się przydać może, chociaż on to tam pewnikiem bez lat czterdzieści całkiem się zepsował. Ale przecie do wójta z tem chodzić nie należy. Tam przy tym nieboszczyku są może jakie papiery, po co mają o nich wiedzieć?

— Zapewne, ale cóż z tem zrobić? Przecież tego biedaka, co śmierć poniósł za ideę, tak pozostawić nie można. Należy mu się cichy spoczynek w tej ziemi, którą ukochał.

— To się wie, panie. To też nocką, jak wszyscy się pośpią, pójdziewa razem z paniczem na ugorzysko, wydobędziemy onego kościotrupa i uczciwie, po katolicku pochowamy.

— Ja mam z wami iść, Błażeju?

— A któż pójdzie? Ja sam przecie rady nijak nie dam, a nikomu o tem powiadać nie potrza. Ludzie mają długie języki, jeszcze tera, kiedy różnego tałatajstwa, z przeproszeniem, namnożyło się, co ani Boga, ani wiary, ani tej świętej ziemi nie uczczą.

— O tak! Okropne czasy. Ale niktże nie wie o tem, prócz ciebie, Błażeju?

— Otóż to, bieda, że wie o tem Wojtek Macherzyna. On, jako szelma, próżniak, wszędzie się kręci i myszkuje, wlazł hycel na wierzbę i onego kościotrupa nalazł.

— Wojtek? no, to wszystko przepadło. Będzie gadał.

— On nic nie powie.

— Skądże masz taką pewność?

— Bom go zaklął i przysiągł mi, że pary z gęby nie puści

— Bardzo to wątpliwe. Wojtek zna się z różnymi ludźmi, co się po wsi teraz wałęsają i ma przewrócone we łbie.

— A przecie zaprzysiągł.

— Co znaczy przysięga u takiego głupca ze łbem przewróconym.

— Nie! on nic nie powie.

— Bógby to dał. Ha, trudno. Pójdziemy w nocy i zobaczymy. Czekajże na mnie pod owczarnią. Jak się wszyscy pośpią, pójdziemy. Przygotuj sznury i łopaty. Osobliwsze zdarzenie! Bardzo mi to wszystko nie na rękę, bo tu, we dworze, ma być zjazd wielu osób, a przytem słyszałem, że tam, w lesie, odbywają się po nocach jakieś schadzki, jakieś narady. Nuż nas zobaczą?

Orczykiewicz podrapał się po głowie z miną zakłopotaną i rzekł:

— Juścić może to być. Wiemcić ja dobrze, że się zlażą w lesie i Wojtek też tam bywa. Sprałem hycla za to rzetelnie, ale co to pomoże?

— Czemu go trzymasz? dlaczego go nie wypędzisz na cztery wiatry?

— Mogę ja to? Nieboszczyk pan dziedzic przykazał go trzymać, a kiedym się skarżył, kazał go sprać i tyle. Sprać, sprałem, a trzymać musiałem. Gadali też ludzie, a i mnie się coś ochapia, że ten Wojtek to... ale ja nic nie powiem i idę sobie...

— Czekajno! co ludzie gadają o Wojtku?

— Ej, nie godzi się powtarzać.

— Powtórz jednak.

— Chyba, że panicz przykazują.

— Nie mam prawa ci przykazywać, tylko proszę. Trzeba przecie wiedzieć, jak się zachować, jeżeli Wojtek nas zdradzi.

— Zdradzić, to on nie zdradzi, przysiągł przecie, chocia słusznie panicz mówią, że takiemu hyclowi wierzyć nie można. Hycel-cić on, hycel, ale to zawdy bywa z takimi, z przeproszeniem, bękartami.

— To on bękart?

— Tak ludzie gadają' i jak ja sobie różne rzeczy przypominam, to chyba będzie prawdą.

— Czyjżeby on był?

— Była tu, panie, we dworze Jewka, dziewka pinkna, ale straszny wartogłów i latawica. Pędziwiatrem ją przezywano. To ten Wojtek jest synem tej Jewki i nieboszczyka pana dziedzica... aleć to ta pewności niema nijakiej.

Stanisław nic na to nie odrzekł, tylko sobie pomyślał, że jego stryjaszek nazbyt wolne prowadził życie. Przed chwilą dowiedział się, że śliczna panna Aniela jest jego i gospodyni, pani Magdaleny Schmid, córką, a teraz taka sama historya Wojtka Mecherzyny. Piękne sprawy, ani słowa. Tylko patrzeć, jak więcej się takich wykryje. Pożegnał tedy Błażeja, zalecając mu, by był gotów do nocnej wyprawy i poszedł zamyślony do dworu. Idąc, zatrzymał się i zawołał:

— Błażeju, jak będziesz przechodził koło stajni, przypomnij Jędrkowi, żeby przed trzecią pojechał wolantem na kolej. Ma tam kogoś przywieść.

— Dobrze, panie.

Koło godziny czwartej popołudniu, przed ganek dworu w Górze, wolantem, wysłanym na stacyę kolejową, zajechała osobliwsza figura. Wysoki, chudy, wygolony oprócz bokobrodów już trochę siwiejących, z okularami na nosie, w czapce z gwiazdką, w długim, letnim paltocie, podobnym do szlafroka, jakiejś dziwnej barwy, w kaloszach, choć to był lipiec i od paru tygodni deszcz nie padał; jegomość ów wysiadł, dźwigając niewielki, mocno zniszczony kuferek płócienny i począł bacznie rozglądać się dokoła. Na powitanie gościa wyszedł Stanisław na ganek i kłaniając się, pytał:

— Kogóż mam honor witać w domu mego stryja?

— Da, honor to honor, no po mojemu niema tu nijakiego honoru. Mam cześć rekomendować się, Siergiej Bolesławicz Kozłowski, koleżski asesor.

— Bardzo mi przyjemnie.

— To to i jest. Widzisz pan, wyczytał ja w Senackich Wiedomostiach, co umarł niejaki Fiedor Kozłowski i coby wszyscy Kozłowscy zjechali się do sioła Góry, petrokowskiej guberni. Nu i ja Kozłowski, wziął ja urlop i przyjechał. Teraz jest wakacyonny czas. to mnie lubo zajechać w Polszu i poznać rodnych moich. Pan także Kozłowski?

— Tak.

— Bardzo rad. A to sioło Góry, petrokowskiej gubernii?

— Tak.

— Nu to i dobrze. A gdzieże mnie złożyć mój czemodanik?

— Jest dla pana pokój gotowy, proszę za mną.

— Ładno. Znaczy, co wy, pan, odebrali moją telegramu, a?

— Odebrałem.

— Nu... mówią, co tu piękna sukcesyjka jest?

— Nie wiadomo jeszcze, a jeżeli jest, to tylko dla krewnych.

— Jak dla krewnych? a to ja nie krewny co-li? Czy to moja familia nie jest Kozłowski, Siergiej Bolesławicz Kozłowski?

— Więc ojcu pańskiemu było na imię Bolesław?

— Nu tak, u mnie to jest zapisane w posłużnym spisku, zaraz odkryje czemodan i wam, pan, pokażę. U mnie są dokumenta, ot co jest.

Tak mówiąc, weszli do przeznaczonego dla gościa pokoju i Siergiej Bolesławicz zabrał się do „odkrywania swego czemodana“, ale go powstrzymał od tego Stanisław, mówiąc, że należy to odłożyć na później, że obiad czeka na nich. Więc poszli na werandę, gdzie już panna Aniela, ubrana w obcisłą, jasną sukienkę, uwydatniającą jej dziewicze wdzięki, czekała na panów. Nastąpiły przedstawienia się wzajemne. Siergiej Bolesławicz napił się wódki i począł gadać, że w Polsce piją za mocną wódkę.

— U nas, w Rassii pijemy oczyszczone wino. Ono lepsza od waszej wódki.

A potem zwrócił się do panny Anieli i już ciągle mówił, widocznie w zamiarze obznajomienia jej z sobą i zarekomendowania się z jak najlepszej strony.

— Prawdę wam powiedzieć, madam, u mnie w Pitrze roboty przepaść. Z tych por, jak mnie oprzedzielili pomocnikiem naczelnika stołu, to choć lezę ze skóry, a ciągle czasu nie chwyta. Prosto precz z rąk. Na siłę ja się wyrwał, żeby tu do was w petrokowską gubernię przyjechać. Mnie naczelnik mówi: a co Siergiej Bolesławicz, wam sukcesyjka przypada, w Polszu chcecie? Strzeżcie się, Siergiej Bolesławicz, tam was Polki w plen wezmą. Nu i prawdu Paweł Kononowicz powiedział. Takich dam, jak w Polszy, ja nigdy nie widział. Prosto rozkosz. Nu, pan, napijem się, a?

— Proszę!

Napił się, pogładził zawiesiste bokobrody i dalej gadał:

— Mnie w Pitrze wiedzie się niczego. Miejsce zajmuję nie bardzo widne i czyn niewysoki, koleżski asesor. Ale, jak to mówią, nie miejsce farbuje człowieka, ale człowiek miejsce. Nie czerwona chata węgłami, a pirogami. Otóż, choć żałowanie mam niewielkie, a wszystko taki to na tem, to na drugiem, coś zawsze zarobię. Już to oddechu to nigdy nie mam, patrzaj w oba i nie poziewaj. Ale przynajmniej już sobie ja coś zebrał. Posłuż ja na tem samem miejscu lat dziesięć, to pożałuj tak nażyję się,



Kogóż mam honor witać.

że moje uszanowanie. Wy, madam, nie jecie pirożka, a?

Panna Aniela w rzeczy samej mało albo prawie nic nie jadła, tylko patrzyła na tego osobliwszego gościa, Polaka z Petersburga i słuchała go, uśmiechając się od czasu do czasu. Bawił ją wybornie; za to Stanisław był chmurny i nie odzywał się wcale. Jego ta gadanina zgoła nie bawiła, ale za to irytowała mocno. Tymczasem Siergiej Bolesławicz jadł wszystko łakomie, pił wódkę, co mu wcale nie przeszkadzało gadać nieustanie:

— Tak to, tak. Paweł Kononowicz prawdę powiedział, że mnie Polki w plen wezmą, ha, ha, ha! Co, madam, ja przyznaję się, ze strachem jechał w Polszu. Tam, gadają mnie, rewolucya, matież, tam są same pany i ksiendzy, odstały naród, na chłopa wołają psiakrew. A co mnie, powiadam sobie w duszy, czy ja nie Polak? Jakże moje rodaki mnie mogą co złego zrobić? Napluć na to i w drogę! Nu, to ja i przyjechał i widzę, że to wszystko, co w Pitrze gadali, jest łgarstwo. Tu cicho, porządek, jak należy.

Znowu napił się wódki i gadał:

— Nie bądź ja korzenny Polak, to jakby ja wysoko podźwignął się! A tak, jak ja korenny Polak, to ja nie mogę prędko podźwignąć się na służbie. Nu, do czorta z tem! Znacie, madam, co ja niedawno co tylko jednego głupstwa nie zrobił. Chciał ja żenić się na kupieckiej córce. Już był nawet za nią poswatał się, ale potem machnął ręką. A już przez miesiąc miał być ślub. Oho! żeby wy znali, madam, jaki ja był wtedy frant! Bywało przyjadę do niej cały rozduszony, wypomadzony, dyabeł weź! Salon piękny lampy, wszystkie świece zażygane, widno jak w dzień. Nu, jak zacznę kury stroić, tak moje uszanowanie. Często my hulali razem po Newskim. Całe pół roku włóczył się ja nią. I panna była sobie niczegowata, ze wszystkiem niedurna, pierwszy sort, trochę podobna na was, madam, a nawet bardzo was napomina.

Panna Aniela roześmiała się głośno i odrzekła:

— Zaszczyt to dla mnie.

— Nu, zaszczyt, nie zaszczyt, a wszystko taki dziewica Ekateryna Mitrofanowna była piękna, a i przydacze miała niczego sobie. Ojciec jej i pierwej miał dom jeden, niedawno że wystroił po Sadowej drugi, kamienny, gromadny, na twarz 84 okna.

— Hi! hi! hi! zaśmiała się panna Aniela.

Spojrzał się Siergiej Bolesławicz i także śmiać się począł:

— Wy, madam, myślicie, że taka dziewica nie dla mnie? Otóż ja wam powiem, że o mało ja się na niej nie ożenił. Już zdawało się, że całe dzieło w kapeluszu, jak tu niespodzianie jawił się, dyabeł weź, jakiś odstawny jenerał. Tak też i mnie podsiedział. Ojciec tak zbłaźnił się jego czynem, że mnie odkazał. I żeby było dla kogo odkazać, a to dla takiego grochowego atuta. Da nu ich do dyabła! Płakać o nich nie stanę. Jeszcze potem śmiać się będę nad nimi, jak jenerał ich nadmie. Bo ja znam, że jenerał chce tylko od ojca zająć pieniędzy, a potem to i wspominaj, jak nazywali. Wtedy to ojciec będzie orać na całe gardło, że jego nadęli i pozra, że mnie naprożno odkazał. Tak to zawsze wodzi się z ludźmi mocnymi tylnym rozumem.

Hi! hi! hi! zapiszczał znowu śmiech Anieli, a za nią głośny śmiech Siergieja Bolesławicza.

— A co, madam, nie prawda?

— Prawda.

— To to i jest. Da nu ich! Gra nie warta świec. Ja teraz na pięknej Polce się ożenię, sukcesyjkę wezmę. Nu, pan Stanisław... nie wińcie, wasze otczestwo, a?

— Ja się nazywam Stanisław Kozłowski.

— Nu, ja to znam, ale otczestwo?

— Andrejewicz! — wtrąciła, śmiejąc się ciągle panna Aniela.

— Nu, Stanisław Andrejewicz, duża to będzie sukcesyjka, a?

— Nie wiem.

— Jak może być, żeby wy nie wiedzieli. Prawdę powiedzieć, ja, jak feldmarszał, surowo nie lubię nieznajek. Ot co jest. Wy, Stanisław Andrejewicz, tak sobie gadacie. Nu, niech tak będzie. Znamy my swego brata, a my, brat, twarzą w błoto nie uderzym! Wy może myślicie, co ja tylko dla sukcesyjki w Polszu przyjechał. Co mnie pieniądze, napluć na pieniądze!

Widocznie szemrało mu w głowie od mocnej wódki. Spocił się, surdut rozpiął i chustką twarz obcierał, a oczy z poza okularów świeciły niezdrowym blaskiem.

— Ja przyjechał, żeby wasz odstały naród, waszych panów i ksiendzow w kozi róg zapędzić! Ja wam tu przywiózł źródła żywej wody, progres, szerokie goryzonty, ot co jest! Tu w tej Polsze trzeba wszystko przedziałać, przetasować, jak karty, bo będzie płocho!

Pan Stanisław niecierpliwił się i rzekł:

— Możebyśmy wstali?

Panna Aniela nie miała ochoty wstawać. Ją bawiła dotąd, a teraz zaczęła interesować ta osobliwsza postać petersburskiego progresisty, który chce Polskę do góry nogami przewrócić. Kto wie, myślała sobie, może on ma jakie nowe idee. Ale Stanisław powstał i dziękował za towarzystwo, a Siergiej Bolesławicz dorwał się do rączek Anieli i całował, całował je namiętnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Trzydziestolecie artysty.

Znakomity polski illustrator i znany artysta-malarz, Czesław Borys Jankowski, obchodzi w tym roku trzydziestoletni jubileusz różnorodnej i bardzo płodnej działalności artystycznej.

Czesław B. Jankowski urodził się w Warszawie w roku 1862. Szkoły kończył w Warszawie i tam również pobierał pierwsze wskazówki rysunkowe od Audriollego, Piotra Kowalewskiego i Kamińskiego. W r. 1880 ukończył ze złotym medalem warszawską szkołę sztuk pięknych, pozostającą wówczas pod kierunkiem Wojciecha Gersona.

Jako illustrator, Jankowski wystąpił po raz pierwszy w roku 1881 w „Biesiadzie Literackiej", gdzie pomieścił rysunek p. t. „We wsi". Od tego czasu stał się jednym z najpopularniejszych illustratorów polskich i umieszczał swoje wyśmienite rysunki w „Tygodniku Powszechnym", „Kłosach" i „Tygodniku Illustrowanym", illustrując równocześnie mnóstwo książek dla młodzieży, wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

W r. 1886 Czesław B. Jankowski przeniósł się do Krakowa, gdzie stał się filarem wydawnictwa „Swiat", redagowanego i wydawanego przez Zygmunta Sarneckiego. Tutaj uzyskał pierwszą nagrodę na konkursie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych za obraz p. t. „U podnóża sztuki", tutaj przystąpił do illustrowania wespół ze Stachiewiczem trylogii Sienkiewicza i tutaj wystawił swój pierwszy wielki obraz olejny p. t. „Obóz Tatarów w XVII. wieku". Ożeniwszy się w Krakowie z utalentowaną poetką Zofią Zamarajewówną, siostrą znanego literata i publicysty Jana Ursyna-Zamarajewa, wyjeżdża Jankowski w r. 1889 do Paryża.

W Paryżu rozpoczyna się najbardziej wszechstronna działalność tego wybitnego artysty. Wstąpiwszy do wielkiej, światowej sławy „L'Illustration" paryskiej, rysuje w niej Jankowski sceny z bieżącego życia paryskiego, podaje wytworne szkice z przedstawień teatralnych, a wreszcie illustruje szereg powieści Daudeta, Maupassanta, Theurieta, Rene Bazina, Legouvégo, Prevosta i innych. Jednocześnie mnóstwo illustracyi wysyła do angielskich czasopism, jak „The Graphic", „The Illustratted London News" i do niemieckiej „Illustrirte Zeitung". W amerykańskiem wydawnictwie „Ziemia" pomieszcza cały szereg scen z życia i obyczajów narodu polskiego. Zaproszony przez wielkie magazyny „Au Bon Marché", rysuje dla ni h i stylizuje artykuły mody i jego wzory mód rozchodzą się następnie po całym świecie, jako wytwór najwyższej elegancyi i ogromnego gustu.

Ale artysta nie zadowalnia się tą pracą illustratora. Pracuje gorliwie nad malarstwem olejnem i akwarelowem i wystawia corocznie swoje obrazy w „Salonie" paryskim, na wystawach w Chicago, Londynie, Bordeaux, Lorient, Tours, Marsylii. Przysyła także obrazy swoje do Krakowa, Lwowa, Warszawy, Poznania i Kijowa. Takie jego dzieła, jak: „Idę", „Gwiazda zaranna", „Rodzicielka", „Sen matki", „Emigracya", „Rybacy", „Najmita", „Nagroda za trudy", „Przeznaczenie" i t. d., zwracają wszędzie uwagę i zdobywają pochlebną krytykę. Republikański rząd francuski ozdabia go krzyżem zasługi. Poprzednio Jankowski zdobywa kilka „grand prix" na francuskich wystawach prowincyonalnych.

Na specyalną uwagę w działalności Czesława B. Jankowskiego zasługują jego ilustracye do poematu Zofii Jankowskiej p. t. „Pieśni słowa", oraz illustracye do „Dziadów" Mickiewicza. Zwłaszcza 18 kartonów do „Dziadów", to prawdziwe arcydzieło, które pozostanie na zawsze w skarbnicy sztuki polskiej.

Czesław Borys Jankowski wśród polskich artystów-malarzy należy do najbardziej wszechstronnych. Niema dziedziny malarstwa czy rysunku, którejby nie posiadł gruntownie. To też w ciągu lat trzydziestu Jankowski wypuścił w świat kilkadziesiąt tysięcy swoich utworów, wykonanych olejno, akwarelą, piórkiem, pastelem, węglem, tuszem lub ołówkiem.



Trzydziestolecie artysty: Czesław Borys Jankowski przy pracy.

Podając dziś sylwetkę znakomitego i zasłużonego artysty, zasyłamy mu w dniu jego trzydziestolecia serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy.

Lwowski chór techniczny w Królestwie polskiem.

Dziarska drużyna śpiewacza znanego towarzystwa „Lwowski chór techniczny" wybrała się niedawno na wycieczkę artystyczną po Królestwie pol-



Wystawa kolejarska w Wiedniu: Fragment wystawy kolejarskiej w Wiedniu.



Wystawa kolejarska w Wiedniu: Amatorskie prace krakowskich kolejarzy.

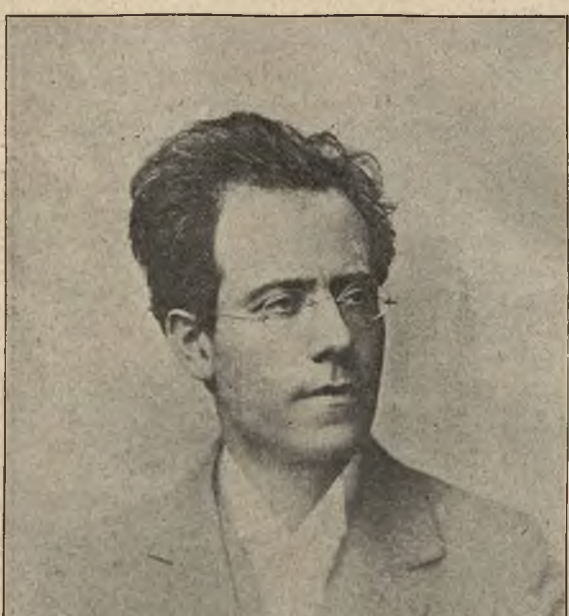
skiem, aby nawiązać stosunki ściślejsze z braćmi naszymi z za kordonu i aby pięknem i artystycznem wykonaniem programu, składającego się prawie wyłącznie z utworów polskich, wzbudzić zapał do pieśni polskiej i do śpiewu. Na program składały się najnowsze kompozycye Galla, Maszyńskiego, Niewiadomskiego, Szopskiego, Szopena, Walewskiego, Waltera, Wolfsthala, Żeleńskiego i innych.

Wycieczka pod artystycznem kierownictwem dy-



Lwowski chór techniczny w Królestwie polskiem: Członkowie chóru z dyrektorem p. Tomaszewskim (X) w pośrodku, na dworcu krakowskim.

rektora p. Stanisława Tomaszewskiego rozpoczęła się koncertem w Kaliszu w sali szczelnie wypełnionej. Drużyna śpiewacza zyskała ogólny poklask i wzbudziła entuzyazm pięknem wykonaniem poszczególnych punktów programu. Po koncercie odbył się bankiet na cześć gości, na którym między innymi przemawiał poseł do Dumy p. Parczewski. Na drugi dzień odbył się koncert w Łodzi przy współudziale chóru mieszanego „Lutnia Łódzka", p. Frenkla, artysty teatru warszawskiego, panny Nowackiej, śpiewaczki i p. Oziminskiego, skrzypka. Wieczór ten był jedną wielką owacyą, jaką zgotowała publiczność



Zgon znakomitego muzyka: Gustaw Mahler.

łódzka technikom lwowskim. Na bankiecie wśród mów i śpiewów tak „Chóru technickiego" jak i chóru „Lutni", bawiono się ochoczo, aż do odjazdu gości rannym pociągiem do Warszawy.

W trzeci dzień wycieczki odbył się koncert w Warszawie przy współudziale panny Jagodzińskiej, pianistki i panny Jabłońskiej, wiolinistki. Jaki tam sukces odniosła, stosunkowo nieliczna, bo 22 członków licząca drużyna śpiewacza, poświadczą recenzyę najwybitniejszych krytyków warszawskich.

Ostatnim wreszcie etapem był koncert w Częstochowie ze współudziałem znanego skrzypka p. Schwarzensteina.

Serdeczne i szczere przyjęcie, jakiego doznali studenci Politechniki lwowskiej w Królestwie, pozostanie na długo w pamięci uczestników i zacieśni nawiązane przed dwoma laty, na podobnej wycieczce, węzły przyjaźni i wspólności z braćmi z za kordonu.

Wystawa kolejarska w Wiedniu.

Szef sekcyi Röll, będąc podczas otwarcia wystawy amatorskich prac funkcyonaryuszów kolejowych w Krakowie, która dzięki opiece i protektoratowi radcy dworu Zborowskiego, przyniosła przyniosła pokaźny dochód na rzecz kolonii wakacyjnych dla dzieci kolejarzy krakowskiego okręgu, powziął myśl urządzenia na ten wzór „ogólno austryackiej wystawy amatorskich prac funkcyonaryuszów austr. kolei państwowych", z której dochód przeznaczony będzie na rzecz stowarzyszenia jubileuszowego „Das Kind der Eisenbahner", założonego niedawno pod protektoratem p. Flory Derschattowej, żony byłego ministra kolejowego.

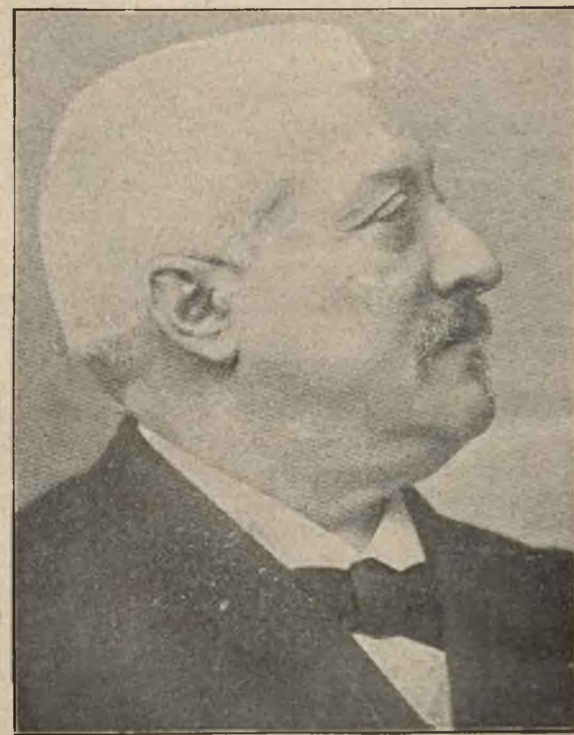
Utworzył się centralny komitet wystawowy w łonie ministerstwa kolejowego, pod przewodnictwem p. Derschattowej i szefa sekcyi Rölla. Kraków zastępował jako delegat dr. Spitzer, Lwów insp. Geringer, Stanisławów dr. Wróbel. Inż. Schall z krakowskiej dyrekcyi był doradcą centralnego komitetu. Kraków więc dał impuls do dzieła, o którem szeroko rozpisują się dzienniki całej Austryi, chwaląc myśl a bardziej jeszcze wystawę, nadzwyczaj starannie i bogato wyposażoną.



Wystawa kolejarska w Wiedniu: Dział krakowski na wystawie wiedeńskiej.

Wystawa wspomniana mieści się w muzeum przemysłowem (Stubenring Wollzeile) we Wiedniu, we wspaniale dla każdej dyrekcyi osobno urządzonych salach. Trudno wyliczać wszystkie okazy. Stwierdzić tylko należy, że niektóre z nich są wprost misternie wykonane, z wielką precyzyą. Osobno rozgościło się ministerstwo kolejowe; umieszczono tam prace radców budowy Kuźmińskiego, Prachtla-Morawiańskiego i Karlińskiego, prace, budzące podziw ogółu. Dyrekcya wiedeńska ma wspaniałe okazy z dziedziny wynalazków. — Protektor wystawy arcyksiążę Salwator i arcyksiążę Rajner, zwiedzając wystawę, wyrazili uznanie swoje patronom wystawy dr. Głąbińskiemu i p. Derschattowej.

Kraków reprezentuje około 100 wystawców. Powszechną uwagę zwracają na siebie wyroby oficyała Bąkowskiego z dziedziny teatraliów — za które



Straszna katastrofa awiatyczna: Ernest Monis, prezydent gabinetu francuskiego, ciężko poraniony.

uzyskał uznanie arcyksięcia Salwatora. Malowidła Cieczkiewicza, Tarczałowicza, Noworyty i Borowskiego ogólnie się podobają. Dyplomy Winklera, piórkowe prace Ostafina, kolorowane fotografie Schalla, akwarele i malowidła p. Rylskiej, prace inż. Kirschnera, pp. Hebenstreita, Jurowicza, Gutkinda, Kasprzyka, Guta, Mrowca, Trieblinga, Strasika, pp. Zborowskiej, Spitzerowej, maszyna parowa z drzewa Radwańskiego, Synowca, Ulanowskiego, Ligenzy Aleksandra, inż. Karasia, trofea Winklera, rama Schalla, warte są wzmianki.

Z prac kobiet — o których „Fremdenblatt" wielce pochlebnie się rozpisał — odznaczają się specyalnie prace pp. Blaszkowej, Guzkównej, Grohmanowej, Kampflowej, Spitzerowej, Urbańskiej, Szewczykównej, Wojtusiakowej. Radca dworu Zborowski przedstawił swoich urzędników arcyksięciu, oprowadzając go po wystawie i uzyskał uznanie za swój dział.

Illustracye z fotograficznych zdjęć tejże wystawy, zamieszczamy w niniejszym numerze.

Cesarz Wilhelm w Anglii.

Anglia od dłuższego czasu spogląda bacznie w stronę wzrastających ekonomicznie i militarnie Niemiec. Z jednej strony kolidują ze sobą coraz częściej handlowe interesa obu państw, z drugiej zaś strony może Anglia nie bez podstawy przypuszczać, że zbrojenie Niemiec, zwłaszcza budowa coraz nowych dreadnoughtów i gorączkowe usiłowania stworzenia floty powietrznej — dotąd niezbyt pomyślne — skierowane są przeciwko dotychczasowej władczyni morza.

Stąd powstała prawdziwa „germanofobia". Mimo znakomitego stanu swej floty, powiększają ją Anglicy i nadal, a nawet poważnie zastanawiają się nad obroną — w razie ewentualnej inwazyi — samej wyspy, na której od niepamiętnych czasów nie postała stopa obcego żołnierza. W każdym razie wchodzi tu w grę zasada *si vis pacem, para bellum*, gdyż Anglia wojny nie pragnie i pragnąć nie może.

To też, zabezpieczając się na wszelki wypadek, stara się ona równocześnie o utrzymanie jak najlepszych stosunków z Niemcami. Niedawno zawiązało się specyalne „Towarzystwo przyjaźni angielsko-niemieckiej", a dążność do zbliżenia politycznego święci w tych dniach niepośledni tryumf, za jaki uważać należy wizytę niemieckiej pary cesarskiej w Londynie.

Za okazyę posłużyła zbliżająca się koronacya Jerzego V., która odbędzie się z ogromnym przepychem, w obecności koronowanych gości. Dnia 15 maja przybył do Londynu cesarz Wilhelm z małżonką i księżniczką Wiktoryą Ludwiką. Zgotowano im przyjęcie świetne, co więcej, serdeczne. Król Jerzy i królowa Marya, oczekiwali przybycia cesarskiej pary na dworcu Wiktoryi. W najbliższych dniach nastąpi szereg uroczystości, urządzonych umyślnie dla jej uczczenia, a gazety angielskie przepełnione są artykułami o tej wizycie, pisanymi w tonie dość nawet szczerym.



Pożar teatru w Edynburgu: Widok zniszczonej przez pożar sceny.

Ale dyplomacya dyplomacyą, a interes interesem. Któż zgadnie, co kryje się poza oficyalnemi wynurzeniami przyjaźni? Czy też sam zgrzyt kół pociągu, który przywiózł dostojnego gościa, nie przypomina obu stronom... kolei bagdadzkiej?

Illustracya nasza przedstawia cesarza Wilhelma, króla Jerzego i księcia Walii, jadących z dworca Wiktoryi do pałacu królewskiego w Londynie.



Cesarz Wilhelm w Anglii: Król angielski Jerzy V., cesarz niemiecki Wilhelm II i książę Walii w powozie przed dworcem Wiktoryi.

Pożar teatru w Edynburgu.

Edynburski teatr rozmaitości „Empire Palace" padł niedawno ofiarą płomieni. Wobec tego, że katastrofa nastąpiła bezpośrednio po ukończeniu przedstawienia, ofiary w ludziach mogły być daleko większe. Szczęśliwie zapobieżono panice i publiczność wyszła spokojnie z teatru. Tymczasem za spuszczoną, jak zwykle po przedstawieniu, żelazną kurtyną szalał pożar i działy się straszne sceny. Ponieważ w program *varieté* wchodziły produkcye poskromicieli dzikich zwierząt, stała na niej klatka z lwami. Przerażone lwy wyrwały się i biegały po scenie, oszalałe z trwogi, utrudniając ucieczkę personalowi.

Dziewięciu ludzi zginęło. Między nimi był również dyrektor teatru, głośny artysta cyrkowy Lafayette, który produkował się jako żongler, jeździec i prestidigitator, a dzięki olbrzymim honoraryom za swe występy był milionerem. Lafayette wrócił do płonącego budynku dla ratowania ulubionego psa i konia, nie zdążył ich jednak wyprowadzić z płomieni i zwęglone ciało jego znaleziono obok trupów czworonożnych faworytów.



Straszna katastrofa awiatyczna: Ś. p. Maurycy Berteaux, minister wojny.

Pożar szalał przez całą noc i pochłonął cały, olbrzymi i z przepychem urządzony teatr. Straty materyalne wynoszą parę milionów koron.

Załączona illustracya przedstawia zgliszcza sceny, oglądane od strony widowni.

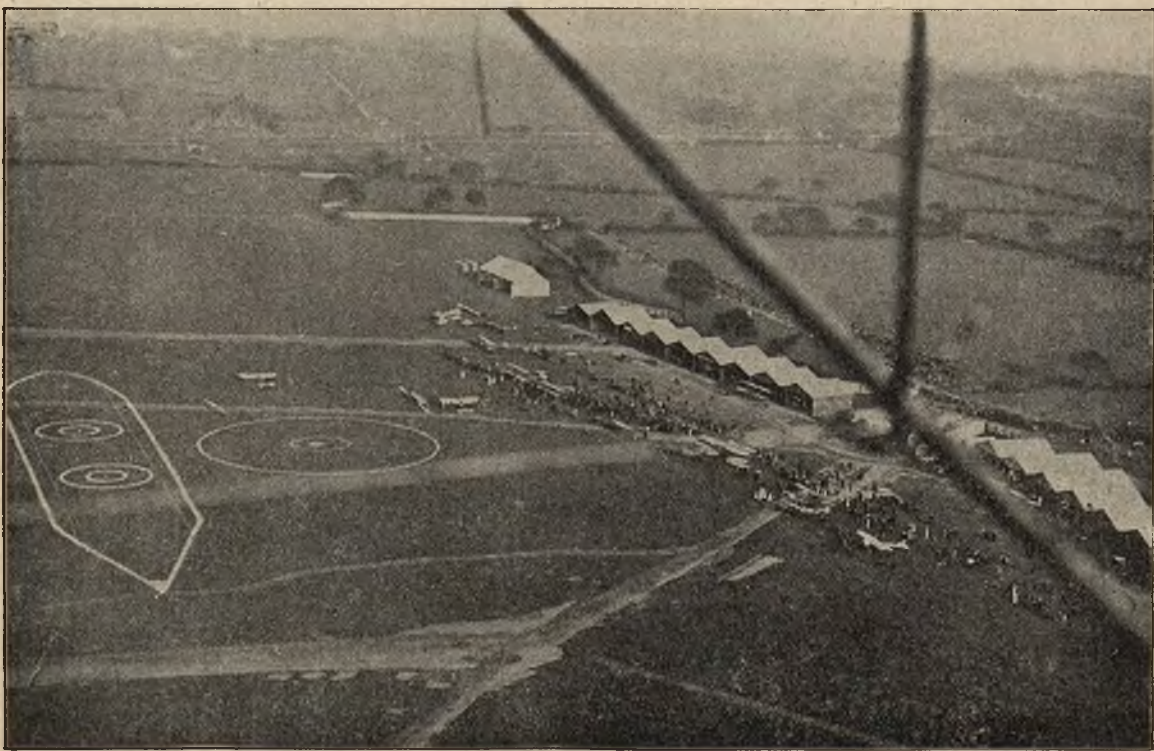
Z życia górników na Śląsku pruskim.

Ruch naukowy i oświatowy w prastarej dzielnicy Piastowskiej, na Śląsku pruskim, przybiera coraz silniejsze rozmiary, coraz szersze zatacza kręgi, dzięki czemu dzielnica ta odzyskuje zwolna charakter krainy polskiej. Nie na rękę to oczywiście hakacie, nie na rękę rządowi pruskiemu, to też walka, jaką Polacy tamtejsi staczać muszą na każdym kroku, jest bardzo gorąca.

Bardzo wielkie zasługi około podtrzymania ducha polskości w tych ciężkich warunkach położyło dotąd Zjednoczenie zawodowe polskie, związek robotniczy, jedyny polski w całych Niemczech, liczący dziś z górą 60.000 członków. Podzieleni są owi członkowie na szereg grup i filii, z których każda okazuje wielką żywotność. Zarządy tych filii organizują wiece robotnicze, odczyty, zebrania towarzyskie, bardzo często pod gołem niebem z powodu braku odpowiednich sal.

Bardzo ruchliwą jest filia Zjednoczenia w Rożdzieniu-Szopienicach, grupująca jako członków prawie wyłącznie górników. Grupa tamtejsza urządza również liczne zebrania i wiece, od czasu do czasu zaś przeplata je skromną zabawą. Zabawy te muszą się odbywać w sąsiednich Katowicach, w Rożdzieniu bowiem właściciele sal, z obawy przed szykanami policyi pruskiej, nie chcą ich Zjednoczeniu wynajmować.

Ostatnie przedstawienie filii Zjednoczenia w Rożdzieniu odbyło się w Katowicach w „Reichshalli“ w ubiegłą niedzielę. Program był bardzo urozmaicony, a kulminacyjny punkt stanowiło odegranie „Łobzowian“ i „Dziesięciu tysięcy marek“. Amatorowie spisali się doskonale, w czem niemała zasługa dzielnego reżysera p. J. Badury. To też publiczność polska, licznie w sali zebrana, hucznymi oklaskami dziękowała amatorom oraz inicyatorom wieczoru za mile spędzone chwile.



Próby użycia aeroplanów przeciw okrętom wojennym: Fotografia zdjęta z aeroplanu podczas odbytych w Anglii „ćwiczeń floty powietrznej“. Rysunki na ziemi przedstawiają dreadnought i służyły za cel awiatorom.

Zgon znakomitego muzyka.

(Do illustracyi na str. 7).

W ubiegłym tygodniu rozstał się z tym światem znakomity muzyk i kompozytor, jeden z najwybitniejszych kapelmistrzów, Gustaw Mahler. Nazwisko jego znane jest powszechnie, zarówno z działalności twórczej, jak kapelmistrzowskiej, zwłaszcza na stanowisku dyrektora opery nadwornej w Wiedniu.

Mahler urodził się 1860 r. w Kaliszcie w Czechach; po ukończeniu szkoły średniej, zapisał się na uniwersytet wiedeński, równocześnie zaś uczęszczał do konserwatoryum. Obdarzony wielkiemi zdolnościami a przytem zamiłowany szczerze w muzyce, poświęcił się ostatecznie karyerze artystycznej.

Jako dyrygent należał do mistrzów niepospolitych i niezrównanych, z tego przedewszystkiem powodu, iż umiał się wżyć w ducha każdego twórcy i wydobyć z ich dzieł najistotniejsze cechy.

Jako dyrektor opery nadwornej, na czele której stał przez lat 10, przyczynił się w wysokim stopniu do jej podniesienia. Niestety musiał stamtąd ustąpić z powodu rozmaitych intryg zakulisowych.

Osobną kartę w dziejach muzyki zajmie nazwisko Mahlera jako kompozytora. Bo i na tem polu zaszczytnie się odznaczył. Utwory jego są przeznaczone przedewszystkiem na orkiestrę. Z dziewięciu symfonii Mahlera, druga, C-mol, jest najpowszechniej znaną.

Znakomity muzyk chorował od dłuższego czasu. Zapadł na zdrowiu podczas artystycznego tournée w Ameryce północnej. W Paryżu stan się znowu pogorszył, tak że zdecydowano się przewieść go do Wiednia, w nadziei, że otoczenie rodziny, troskliwa opieka lekarzy-przyjaciół, dodatnio wpłyną na stan zdrowia Mahlera. Niestety nadzieje te zawiodły i przed kilku dniami nastąpił przedwczesny zgon.



Z życia górników na Śląsku pruskim: Amatorska trupa Zjednoczenia zawodowego polskiego w Rożdzieniu na Śląsku.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

30

— Milczeć jeden z drugim! Galony oderwę, na czterrry wiatrrry! Do ciurów, do szczygłów! Armaty nie dąm powąchać! — Niema podporucznika! Niema podoficerów, ogniomistrzów! — Na koniuchów pójdziecie! Pod sąd! Ja was nauczę! Degradacya! Kazamaty, panie dziu! Co? — Milczeć! — Napad?... I toto imć Zarzycki, lizusek, marcypanek...

— Bo niech kalumni nie pisze! — ozwał się z desperacką odwagą Zarzycki.

Kapitanowi w gardle zacharkotało.

— Niech dowódzcy naszemu...

— I dlategoś acau bezbronnego człeka mordował!?

— Aby... aby mu krzyża atramentem zmaczałem.

— A gwardziści bagnetami do nas! — Kamienować chcieli! Pan podporucznik sam pilnował, aby płazować! — Dwustu na jednego szło! — jęli uskarżać się artylerzyści.

Kapitan żachnął się i piorunami zaklął — gdy nagle, od strony wjazdu na dziedziniec, wybuchnęła wrzawa.

Orlikowski porwał się do bramy.

Artylerzyści spojrzeli po sobie przerażeni.

— Cma za nami!

— Za stajnię i opłotkami w pole!

— Inaczej kajdanki!

— Niema co! — wrzasnął podporucznik. — Co to!? — Wystrzał! Grają na alarm! — Bierz dyable, co swoje! Za mną chłopcy!

I kompania pomknęła do bramy.

Tu dopiero sprawców napadu na Psarskiego ogarnęło drżenie. Bo nie dość, że dla odparcia ścigających ich mieszczuchów, szyldwach zaalarmował koszary, niedość że tłum szukających pomsty rósł, huczał, groził ku utrapieniu gwardyi narodowej, która usiłowała go odeprzeć, lecz nadomiar nad pogłowiem zarysowała się postać samego wice-gubernatora na koniu.

Iliński, widząc co się dzieje, pożałował niewczesnego posłuszeństwa dla alarmowej trąbki. Kapitanowi Orlikowskiemu bowiem, formującemu żołnierzy swych, nic nie groziło, natomiast ku nim nadchodziła chmura brzemienna gromem. A o cofaniu się, o desperackiej dezercyi ani, ani marzyć już nie było można. Sygnały bowiem, zwabiwszy zawadyacką szóstkę, wnet ją uwięziły w szeregu, odcięły jej myśl o odwrocie.

Tymczasem wraz z ukazaniem się wice-gubernatora i wartkiem jego przemówieniem, tłum zawiwatował i uspokoił się.

Iliński raźniej ku Zarzyckiemu spojrzał, ale wnet oczy mu na dobre zmętniały, bo wice-gubernator, uporawszy się siako tako z tłumem — wpadł na Orlikowskiego i nie zważając na należne mu honory, zakrzyknął gniewnie:

— Kto tu dowodzi?

— Kapitan Orlikowski w zastępstwie pułkownika Bema.

— Gdzie są ci rozbójnicy?!

Orlikowski wyprostował się.

— Nie rozumiem, generale.

Ruttié rzucił się na kulbace.

— Jakto kapitan nie rozumiesz?

— Widzę jeno tłum, ośmielający się...

— Z winy pańskich podkomendnych...

— To jeszcze niedowiedzione!

— Najzupełniej. Hej tam, którzy byli świadkami!? — Dawać ich! Kompania gwardyi, zrewidować koszary!

Najbliższy oddział piechoty ruszył ku wjazdowi, gdy równocześnie Orlikowski zakomenderował na swoich żołnierzy:

— Baczność! — Czwarty i piąty pluton do armat! Na pozycyę zataczaj!!...

Koń pod generałem dał susa.

— Co kapitan?!!

— Nie dam rewidować!

— Wasze straciłeś zmysły! Wiesz, z kim mówisz?

— Mam honor, generale.

— Zbrodniarze muszą być pojmani. Napad zbójczy, w biały dzień, na spokojnego obywatela, sponiewieranie porucznika! Tu się salwowali — z artyleryi konnej gwardyi byli!

— Nie może być.

Ruttié nie posiadał się ze złości.

— Są świadki. Inaczej nie może być! Rozkaz.

— Uchybiający czci i godności bateryi!

— Kapitan chyba nieprzytomny! Nie rozumiesz, co się dzieje! Widzisz ten tłum? Uspokoiłem go zaręczeniem, że winni będą uwięzieni! Pół miasta wzburzyli. Dziesiątek ludzi porąbali. Tu za nimi, do tego wjazdu goniono.

— Nie przeczę, generale!

— Więc są!

— Nie ma ich!

Ruttié kiwnął się po koniu, tracąc ostatek cierpliwości, wobec tego niesłychanego uporu.

— Ady właśnie stoi najgorszy! — dopomógł generałowi jeden ze świadków, wskazując na Ilińskiego.

— Ten podporucznik?!

— Tak, tak! On siekł! On prowadził!!

— Proszę wydać tego pana straży! Aresztuję go! Słyszysz, co powiadają.

— Podporucznik jest w porządku! Naznaczył jedynie tych, co ważyli się uchybić pułkownikowi dowódzcy bateryi!

— Nie pański sąd! Dosyć! Podporucznik, wystąpić z szeregu!

— Tój!

— Bunt! Bunt! — zapienił się generał. — Ja acana nauczę! — I ty i twój pułkownik razem i cała wasza buntownicza baterya... pod bagnetami...

— Ma dwanaście armat!

— Co?!

— Gotowych do strzału, generale!

XVII.

Zajście u Honoratki i jego następstwa z niefortunnym imci Psarskim i nakoniec z krnąbrnością niepojętą kapitana Orlikowskiego, miało zgoła osobliwy skutek. Alarm bowiem, uczyniony przez wice-gubernatora, miast skłonić rząd i wodza do surowości, do ukarania śmiałka, do dania innym odstraszającego przykładu, skończył się na wysłaniu dziesiątka sztafet i na oświadczeniu Skrzyneckiego, oświadczeniu, z którego raczej płynęło uznanie dla „wolności kijów“ niż potępienie ich. Prawda, minister wojny, w pierwszym impecie, adjutanta swego na śledztwo do bateryi buntowniczej wysłał, lecz że adjutant, miast protokółu, przywiózł wiadomość, że baterya stoi w pogotowiu i aż drży na potwarców Bema — więc jakoś i minister stracił przekonanie do śledztwa dalszego.

Co dziwniejsze, że gdy na wieść o tej chryji już pióra skrzypiały, aby bronić swobody przekonań obitego imć Psarskiego — niewiadomo skąd i jak wzmogła się estyma dla pułkownika Bema i to jednocześnie i w kancelaryi rządu i w kwatermistrzostwie i w sztabie wodza naczelnego.

— Bem ma zachowanie! — Bem stanowi nielada siłę! — Bem wiele mocen!

Co najgodniejszem zaś było uwagi, że już o świcie pośpieszono sprostować fatalną pomyłkę dowódzcy straży, który ośmielił się tak nieposzlakowanego oficera zatrzymać między więźniami.

Pułkownik sam nie wiedział, czyli gniewać się ma, czy śmiać z przygody, która mu się wydarzyła. Toć sędzia Łanowski mało nie płakał ze zmartwienia, sumittował się komendant, sam gubernator w pomstowaniu na nieład wyręczał Bema a nieszczęsny służbista, porucznik Silnicki pod ziemię ze wstydu się zapadł.

I Bem powrócił do swych izdebek zmęczony, lecz uspokojony, pogodny, jak człowiek, który zły sen prześniwszy, spocznienia w nim nie znalazłszy, nie dba o ciała słabość, radując się, że jawy nie przeżył, że marą się dręczył.

Krótkotrwałą atoli była pogoda pułkownika. Bo ledwie wytchnął, ledwie wspomniał, co i jak począć dla pani Anny, gdy nadszedł doń raport od kapitana Orlikowskiego, raport przyniesiony mu przez przebranego po cywilnemu ogniomistrza.

Bemowi w oczach pociemniało. Osunął się bezwładny, przybity, na stołek swój przy swym stole rysunkowym i utkwił szklisty, zdrętwiały wzrok w przestrzeni...

Tuż przed otwartem oknem izdebki pułkownika śmiał się doń, zalany słońcem i ciepłem ogródek. Tuż ku Bemowi chwiały się pędy klonu, targane nóżkami baraszkujących wróbli. Echa hałaśliwej dziatwy, bawiącej się w żołnierzy na dziedzińcu pobliskim, szły w zawody z świergotem niefrasobliwym ptasząt. Rąbek błękitu, jak turkus, nieskażony ludzkiem tchnieniem, czystego, poglądał na pułkownika, wabił, napełnić go niby pragnął swą mocą, swą wiarą w przeczystość.

Dusza Bema tonęła podczas w mrokach.

Pułkownik przetrwał tak godziny, wieki.

Aż głos gardłowy, niepewny a natrętny, ocknął go.

— Respons?

Oczy Bema zaparły się przez chwilę na ostatniem zdaniu raportu Orlikowskiego: „Baterya, z lontami zapalonymi, czeka na rozkazy swego dowódzcy — ozwał się do pułkownika raport“.

Bem potrząsnął smutnie głową, ujął za pióro i nakreślił w odpowiedzi Orlikowskiemu: „Dziękuję, nie mam nic do rozkazania, nie jestem dowódzcą“.

Tymczasem Warszawa, po rozruchach ostatnich, nagle uciszyła się, uspokoiła, jakby wytrzeźwiała. Daremnie hukały na alarm ulotne pisemka, daremnie perorowali po kawiarniach samozwańczy trybunowie, lud naraz zobojętniał dla nich, ochłódł. A natomiast całą swą uwagę zwrócił na echa nie milknących wiadomości o ruchach, pochodach, szachowaniu się wzajemnem zmagających się wojsk.

Lud warszawski atoli i w tym kierunku był teraz powściągliwy, małomówny i nie skłonny do uniesień.

Wódz naczelny razem z Chrzanowskim wodzili się na odmianę z korpusikiem Gołowina, podchodzili go, osaczali, czaili się nań zgoła strategicznie, zadawali mu cios śmiertelny w przededniu starcia a w momencie bitwy pozwalali mu ujść cało.

Po kilkakroć wszystko było wyliczone, każdy pagórek, zagajnik, rów, karabin, nabój był zachowany. Po kilkakroć arytmetyka sztabowa dowiodła, że Gołowin co do nogi wycięty w pień będzie... I daremnie.

Na siedem tysięcy Gołowina prowadził Skrzynecki dwadzieścia tysięcy żołnierza bitnego, rwącego się do rozprawy na ostre.

Ale cóż, arytmetyka była arytmetyką a zmora zmorą. Tak, bo od wyprawy na gwardye zmora prześladowała naczelnego wodza, żarła go, zaprzątała myśl swarami, inwidyami, niweczyła plany, rozbijała kalkulacye.

Tu sztafeta się spóźnił, tam zaspał generał, owdzie, w decydującym momencie, nowa kombinacya objawiła się Skrzyneckiemu, gdzieindziej dwóch dygnitarzów się przemówiło — i w niwecz szedł plon spodziewany.

Żołnierz obocześnie jełczał, niszczał, marnował siły na daremnych marszach i kontrmarszach, pędził zziajany do tego samego Płońska, Garwolina, Kałuszyna, Siennicy, z których był ledwie powrócił i po to, aby bez wystrzału, bez racyi, bez celu znów powędrować na Pragę.

I żołnierz posępniał, chmurniał, drętwiał.

Niekiedy jeszcze, gdy przed frontem jawił mu się wódz naczelny, gdy ozwał się doń gromko, gdy mu zagrzmiał wezwaniem „umrzem lub zwyciężym“ — żołnierz, jakby budził się...

Na krótko atoli, bo podobno w rozstrzygającej chwili, sam Skrzynecki zapominał o swem zaklęciu, bo podobno i on budził się, lecz tylko w obliczu parad, mszy polowych, przeglądów i biesiad.

Na jawie dowództwa swego Skrzynecki nie widział dla się już ani śmierci chwalebnej, ani zwycięstwa — jeno pogrom, pogrom wychylający się doń z każdej bitwy, z każdego starcia. Na jawie Skrzynecki już wierzył jedynie bałamuctwom o interwencyach, potencyach, niemieckich sympatyach, francuskiem braterstwie broni, tureckich janczarach i angielskich korwetach, na jawie Skrzynecki pragnął wygrać na czasie, przeciągnąć wojnę, nacieszyć się jeszcze honorami i adjutantami naczelnego wodza.

Paszkiewicz wojsko przeprawiał na lewy brzeg Wisły, zwierał ramiona korpusów na zamknięcie Warszawy pierścieniem — Skrzynecki bawił się w chowanego z korpusikiem Gołowina.

Na tem zeszła wojsku polskiemu większa część lipca.

Przez trzy tygodnie Warszawa czytała z dnia na dzień, że Rybiński idzie tam i tam, że Chrzanowski stąd atakować będzie a Małachowski z owąd, że główna kwatera była tu a jest już tam, że znów się odznaczyli nasi strzelcy, że równych polskim ułanów na świecie nie ma, że wódz naczelny przed frontem uściskał jakiegoś nowonarodzonego bohatera i *virtuti militari* krzyżem go naznaczył, że słowem wojsko nie przestaje składać dowodów poświęcenia a wódz dzielności. Aż po trzech tygodniach tego rodzaju wiadomości wróciło wojsko na Pragę i wróciło z dotkliwym ubytkiem w szeregach, odsednionymi końmi i wiadomością, że Gołowin Gołowinem został.

Warszawa jednak nie dała tym razem posłuchu wyrzekaniom na Skrzyneckiego. Bo myśl jej, bo serce gorzało pragnieniem czynu.

Powrót wojska na Pragę wyprzedziła wieść, że Paszkiewicz przebył Wisłę i że idzie od Nieszawy, na dobywanie stolicy.

Rząd narodowy do Warszawy się ozwał: „Nieprzyjaciel, wszędzie ze stratą odparty, usiłuje z dru-

giej strony grozić. Niechaj przybywa!... Na okopy! Na wały!"

Warszawa na to strzeliste zawołanie drgnęła i runęła do sypania wałów!

I dnie nastały niesłychane, niebotyczne, wiekopomne!!

Niewiasty, dzieci, starcy, księża, kto w Boga wierzył, czy nie wierzył, ten biegł na sypanie okopów... I na okopach dziwy, dziwy.

Cechy z chorągwiami, muzyki, feretrony, kropidła, śpiewy, hukania. Kopacze narodowi wystrojeni, kwiatami przybrani, ochota, zapał — co rydelek odrzuci garstkę ziemi, to się przypiętą doń kokardką skłoni.

Wiekopomne dni! — Od świtu Warszawa, rozrzewniona własnem poświęceniem, własną cnotą, pędzi ku swym szańcom, żłobi wądół przepastny, łzami radości leje, że najwątlejsze rączyny do grabarstwa się rwą.

A dopieroż budujących przykładów wypominać! Wysiadł z pojazdu sam książę, ujął za rydel i śmignął kopystkę ziemi na garb wału! — Z półtora tysiąca ludzi spłakało się na bobry.

Zajechała dama, a z nią drab w barwie z łopatką. Drab piastował w niedźwiedzich łapach parasolkę i szkiełka, a dama podczas wydłubała tyli dołek, że w nim piesek, co naszczekuje na swą panią z karyolki, mógłby się ułożyć! Jak tu nie wiwatować: „Niech żyje ojczyzna!"

Larum na ulicy, zgiełk, ścisk, głowa przy głowie.

Procesya nie procesya.

Idą męże w oznakach godności ze sztandarami, kotłami, litaurami, srodzy, uroczyści, natchnieni. Idzie cała municypalność. Ludek gęby drze ze zdumienia! Toć dygnitarze, bogacze, jakby to, co w skarbonach mają na kupę złożyć — che, che! toby akurat dwa razy tyle żołnierza polskiego można wysztyftować! I cóż oni? A toć i oni, ci potentaci idą, aby czeluść, otaczającą Warszawę, choć o kilkanaście rydelków pogłębić. Niech potomność wielbi cnotę cnotami.

Wiekopomne dni, pracowite dni. Bo i zmierzch nawet nie był hasłem do spocznienia. Ileże gdy ostatnia kompania ludu wracała z szańców, już teatry zapalały swe światełka.

Więc, kto jeno mógł, ten śpieszył krzepić serce „Fra diavolem", „Wolnym strzelcem", „Wiarusem" — a radować się nowej przyśpiewie o „miotłach, miotełkach" w „Chłopie milionowym".

Dni tych wiekopomnych było coś dziesięć. I byłoby ich może i drugie tyle, bo zapał patryotyczny miał jeszcze zatrzęsienie wspaniałych pomysłów na nowe pochody, loterye, posiedzenia uroczyste, fety, bo poeci warszawscy, aktorzy i Demostenesowie tyle, tyle jeszcze mieli wierszów, mówek, pięknych myśli, kunsztownych apostrof do odczytania, wygłoszenia, odgadania — tak, byłoby dwakroć więcej tych dni epokowych, gdyby nie zgrzyt ponury, straszny, który z poza Niemna nadszedł...

Korpus Giełguda, korpus, który na Litwę poszedł rozpalać żagwie rewolucyi, który ruszył na wzmocnienie trwającej tam od dawna partyzantki, który miał ją wzmocnić, zagrzać, na tyłach armii rosyjskiej okrutną wywołać dywersyę, pozbawić tę armię żywności, furażów, magazynów, posiłków, zniewolić ją do rozproszenia sił — ten korpus z bronią w ręku, z pełnymi patrontaszami, przeszedł granicę pod Goździami i poddał się Prusakom.

Ten korpus, który był nadzieją i ufnością ludu, kalkulacyą sztabu, wiarą, że hen, na Litwie i Żmujdzi łopoczą polskie sztandary, że tam, między Dźwiną i Niemnem, wtóre gorzeje ognisko, że walka, że rozprawa nie da się już w ramionach Wisły, Narwi, Pilicy i Wieprza zdławić, że nawet w chwili otoczenia, w razie opasania, w godzinie rozpaczy, jeszcze tam, na Litwie, tam na Żmujdzi — pieśń legionow brzmieć nie przestanie — ten korpus się poddał! Siedem tysięcy żołnierza dzielnego, karnego odeszło, karabin porzuciło dla kija żebraczego! Ci, co mieli być podtrzymaniem, podporą gromad litewskich woluntarzy — ci stali się ich zgubą, ci bowiem garnącego się do nich ochotnika powiedli na tułactwo.

Klęska, nieszczęście, cios, cios, przechodzący pojęcie!!

Stanęli nad Niemnem, porwali mrowie, najnieufniejszych ocknęli do wysiłków, do poświęceń, zaklęli się, że raczej legną pokotem, raczej własnemi ciałami nowe kurhany dźwigną, zaklęli się i cofnęli się, jak odstępcy, jak tchórze, jak najmici!

Tak, miesiąc cały przysięgali i swarzyli się między sobą o strategiczne racye, a zgodzili się ze sobą — ale wówczas, gdy szło już tylko o dziadowski honor, o „godne" złożenie broni i oczywiście nie przed nieprzyjacielem — och, przenigdy! — lecz przed pruską potencyą.

Landrat był rozjemcą polskich sztabowców, polskich generałów, polskich bohaterów, męczenników. Siedm tysięcy luda zdrowego, silnego, zwartego powędrowało w świat na poniewierkę, na zagładę, na chełpienie się imieniem obrońców tej samej ojczyzny, którą opuścili. Na udawanie, że nie ci, którzy tam, na ruinach, na mogiłach i zgliszczach orzą, sieją i budują, mają prawo do stanowienia, do zasługi, do honoru, lecz oni tylko, oni, co tyle



Osunął się bezwładny i przybity na fotel.

ucierpieli, oni, co woleli raczej pójść na wygnanie, niż dotrzymać przysięgi.

Warszawa ogłuchła ze zgrozy, z bólu i ledwie pytać śmiała o dzieje tej klęski.

Dzieje atoli same nadchodziły, same nastręczały się...

Cały korpus poszedł na marne, a z nim kwiat oficerów, czoło powstańczych watah i zastęp instruktorów! I generał Dezydery Chłapowski i Rybiński i Szymanowski! Jeden Giełgud został... powalony kulą polską, jako zdrajca!!...

I Warszawa przez dni kilka była, jak człowiek, który ciosem złamany, zdruzgotany, nie ma siły ani poskarżyć się ani tchnąć.

Życie atoli, życie roku 1831. miało dla Warszawy jeszcze jeden brzask nadziei.

I oto gruchnęła wieść, że Anglia z Francyą i Austryą pospołu już... już interweniują, że, że, czego oręż polski nie dokonał, czego Giełgud nie umiał, Chłopicki ze Skrzyneckim nie zdołali, czego naród sam niemocen był uczynić — to stanie się, stanie za sprawą Anglii, Francyi i Włoch!

I zahuczały znów ulice, kluby, izby sejmowe, radzieckie sale.

Interwencya! Trzy potencye się zebrały! Szkoda Giełguda, szkoda korpusu, — ale, ale teraz stanie się tak, że i bez wojska, co należy będzie. A będzie, bo musi być. Najpierw ze sprawiedliwości; dalej, że Kongres wiedeński jest taką siłą, taką potęgą niewzruszoną, iż gdyby litereczce kto ważył się uchybić, na tegoby cała Europa z armatami; dalej jeszcze, że otóż w tym Kongresie stoi napisano, co należy, z czego wynika, iż nawet rewolucya była i dla Kongresowej racyi także: no, a nakoniec idą trzy potencye i koniec! — Jedna dyplomatyczna epistoła i ho-ho! Paszkiewicz za Wisłę umknie i dopieroż zacznie się paktowanie. I w tem właśnie tkwi sęk, by się trzymać ostro, by nic ze swego nie ustąpić, by twardo stać.

I delegacye izby poselskiej snuły polityczne wywody, rozprawiały głęboko pisemka — a najnieufniejsi nabierali szacunku dla owych zacnych potencyi.

Tymczasem te dobre nowiny nie przybywały same. Bo oto z Radzymina nadjechał ordynans generała Dembińskiego z wiadomością, że Dembiński ocalał, że dobył się z matni, zastawionej na Giełguda, że wprost z pod Kurszan, ze Żmujdzi ruszył przebojem, że pięćdziesiąt stoczył bitew, utarczek, lecz nie uległ, nie poddał sie, nie myślał nawet szukać pruskiej łaskawości i wracał do stolicy, do Warszawy! — On jeden prawy, hardy, nieugięty Dembiński!

I Warszawa zatrzęsła się od wiwatów i rzuciła na uhonorowanie bohaterskiego generała.

A było zaiste za co Dembińskiego witać. Z pod Rygi się darł, lasami, puszczami, błotami się przedzierał, na trzy fronty ucierał się z nieprzyjacielem a czwartym drogę żłobił. Ha, i wytrwał i ani jednego rannego nie uronił, ani jednego nie porzucił. rzucił. Nie dość, nie odepchnął od siebie garnących się doń powstańców, obywatelów, uchodzących przed porachunkiem za bunty — półpięta tysiąca luda przywiódł na Pragę!

I wyjechał Rząd pół mili naprzeciw i uczcił go solennie, na Szmulowiznie hołdy poniosła municypalność, na okopach lud — aż przed pałacem jeszcze raz Rząd. Aleć nie koniec na tem było. Nazajutrz u Karmelitów *Te Deum*, dalej huczny awans na generała dywizyi, parada, krzyżów rozdawanie walecznym, Izby solenne obrady, uczty, zebrania i mowy, mowy, mowy.

Dembiński był i Ksenofontem i generałem Moreau. Rząd zdobił się w togi rzymskiego senatu i dowodził poznańskim szwadronom, że są rycerzami wracającymi z bitwy kanneńskiej. Retoryczne figury uczyły co krok powracających, jako Hannibalowe zwiędły wawrzyny. jako Rzym z Grecyą i Troją pospołu nie posiadały równego im zastępu.

Jakoż te racye zgoła do przekonania trafiły nawet conajmniej na krasomówstwie znających się żołnierzyków! Bo gdzieby szukać większej ludów, stanów, uniformów, uzbrojenia mięszaniny, niż ją przedstawiał korpusik Dembińskiego.

Już sam rdzeń regularnego wojska był wielce różnorodnym, gdyż zawierał po trochu z każdej broni żołnierzów — i strzelców i ułanów, i artyleryę i inżenierów — a nadto i kawalerzystów bez koni i piechurów... konnych. Dalej, że za Dembińskim ten i ów plutonik, co zawziętszy zdołał od Giełguda umknąć i ku Dembińskiemu przez łańcuchy nieprzyjaciół się przedostać — więc regularny żołnierz był sam przez się zlepkiem najprzeróżniejszych mundurów. A dopieroż woluntarze! Tu żmujdzin, tu łotysz, tu litwin owdzie burłak, inflancki posesor i kurlandzki paniczyk, akademik z Wilna i klecha z Oszmiany; borowy, co krom lasu świata dotąd nie znał, białorus w łapciach i szlachcic w żółtych butach; tu huzar na żandarmskim koniu, owdzie oberwus w dragońskim szyszaku i na kozackiej szkapie; tam jacyś rycerze zaklęci w szkarłatnych płaszczach, czarnych kalabryjskich kapeluszach a obok niby naganka magnacka, zielone czamary, baranie czapy i grzebień dwururek! Mięszanina taka, że ani się wyznać, ani dojść, gdzie upiccy, kędy dusiatcy lub nowogródzcy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Następca Vareszanina.

Po czterdziestopięcioletniej służbie wojskowej u stąpił z szeregów armii czynnej jenerał Maryan Vareszanin od r. 1909 jeneralny inspektor wojsk au-



Następca Vareszanina: Jenerał-zbrojmistrz Oskar Potiorek.

stryackich i szef rządu krajowego w Bośni i Hercegowinie.

Jak już w poprzednim numerze donieśliśmy, następcą jego zamianował cesarz jenerała zbrojmistrza, Oskara Potiorka, jednego z najzdolniejszych strategików, cieszącego się nadzwyczajnem zaufaniem Korony i sympatyą podwładnych.

Jenerał Potiorek urodził się w r. 1853 w Bleiburgu w Karyntyi. Po ukończeniu akademii inżynierskiej wstąpił w r. 1871 w szeregi armii jako podporucznik, po odbyciu zaś studyów w szkole wojennej powołano go w r. 1877 w skład sztabu jeneralnego i przydzielono do biura operacyjnego. W r. 1898 zamianowany jenerał-majorem i komendantem 64 brygady piechoty, pozostawał na tem stanowisku przez cztery lata, poczem powrócił znów do sztabu jeneralnego jako zastępca jego szefa. Po ustąpieniu jenerała Becka objął jenerał Potiorek komendę trzeciego korpusu armii w Gracu, a za zasługi położone około rozwoju potęgi militarnej Austryi ozdobiony został krzyżem komandorskim orderu św. Szczepana. W listopadzie r. 1908 awansował na stanowisko jenerała-zbrojmistrza, w kwietniu zaś 1910 zamianowany został jeneralnym inspektorem armii.

Na nowem stanowisku czeka jenerała Potiorka ciężkie zadanie. Poprzednik jego, człowiek nadzwyczaj popularny, miał mimo to wielu nieprzyjaciół, którzy i następcy jego dadzą się nieraz jeszcze we znaki. Sytuacya zresztą w anektowanych prowincyach jest jeszcze ciągle tego rodzaju, iż dla kierownika rządu nastręcza wiele trudności, spodziewać się jednak należy, że znany z energii i prawego charakteru nowy namiestnik wybrnie z nich zwycięsko.

Szkoła dla pasieczników w Przemyślu.

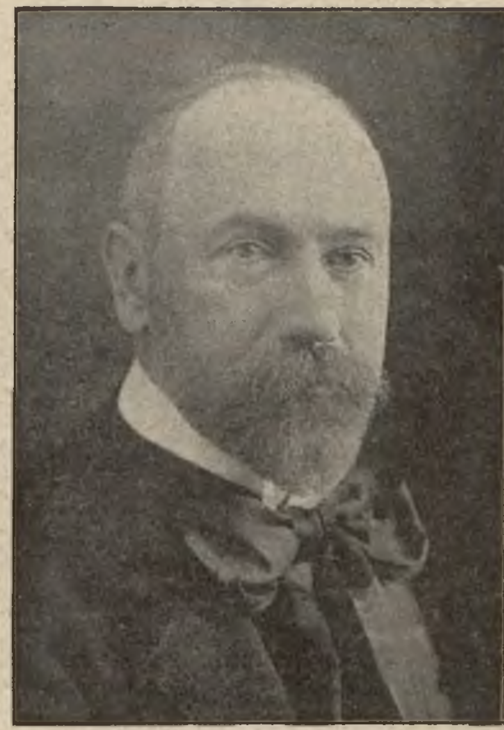
W tych dniach otwarto w Przemyślu szkołę dla pasieczników i pracownię wzorowych ulów. Równocześnie rozpoczął się bezpłatny kurs dla pszczelarzy, który potrwa do końca września. Szkołę założył p. Grzegorz Monasterski.

Uroczyste poświęcenie odbyło się w zeszłą niedzielę. Dokonał go ks. Momidłowski wobec burmistrza dr. Dolińskiego, profesorów przemyskich gimnazyów oraz licznych delegatów zamiejscowych.

Zamieszczamy fotografię, przedstawiającą grupę uczestników poświęcenia. — Trzeci z lewej strony z siedzących osób dr. Doliński, P. Monasterski stoi wsparty na modelu ulów własnego wynalazku. — U góry ogólny widok zakładu pszczelniczego.

Wycieczka uczniów szkoły górniczej.

Uczniowie szkoły górniczej w Dąbrowie na Śląsku odbyli przed kilku dniami staraniem dyrektora tej szkoły, inżyniera Schefera piękną wycieczkę. Przez Kraków udali się oni do Borysławia i Drohobycza, gdzie zwiedzili urządzenia kopalń nafty. W ten sposób połączyli piękne z pożytecznem — jednocześnie poznali wiele rzeczy, które posłużą



Cezary Jellenta.

im w pracy zawodowej i dzieła sztuki oraz pamiątki narodowe, których tyle posiada nasze miasto, a których wspomnienie umocni ich zapewne w poczuciu narodowem, niezbędnem dla naszych rodaków wśród trudnych warunków ich współżycia z Niemcami śląskimi.

Załączamy grupę uczestników wycieczki, nadesłaną nam z Borysławia.



Szkoła dla pasieczników w Przemyślu: Grupa uczestników poświęcenia z burmistrzem i posłem sejmowym, dr. Dolińskim (X) na czele. Z boku model ula, przy którym stoi wynalazca, p. Monasterski. U góry widok zakładu p. Monasterskiego i Ski. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

Jeżeli tak dalej pójdzie jak dotychczas, to wkrótce ustaną grać wszelkie surmy wojenne, poli tyka pójdzie na podpałkę do pieca, literatura do stanie urlop z nieokreślonym terminem, sztuka ułoży się do wiecznego spoczynku, wszelkie wogóle objawy życia spoczną w śnie letargicznym, a cały ruch umysłowy i społeczny skoncentruje się na ławach sądowych.

Jeżeli w czem bowiem, to w procesach pływamy jak pączek w maśle. Pomijam zagranicę, procesy Camorry, Reinbota i t. d. — bo mamy aż nadto „sensacyjnych, spraw własnych. Skończyliśmy z Borowską i Trudnowskim, przyznaliśmy syna ks. Zbigniewowi Kwileckiemu, od dwu miesięcy poszukujemy śladów kul w uniwersytecie lwowskim, od tygodnia śledzimy dzieje testamentu ks. Ogińskiego — a w najbliższym repertuarze posiadamy sprawy: Lewickiego we Lwowie, Seinfelda w Krakowie, Ronikiera w Warszawie, niedokończony proces Wiącka w Tarnobrzegu, zapowiedzianą rozprawę Stapińskiego i t. d.

Spodziewać się należy, iż żadna z nich nie będzie tak nudna, jak proces Rusinów we Lwowie. Jeżeli kto, to sędziowie lwowscy godni są współczucia. Dowiadywać się codzień po śniadaniu, że strzelano z kurytarza, a po obiedzie, że rzucano polanami, to rzecz zaiste zbyt jednostajna i do poziewania skłaniająca. Dlatego też obawiam się, że proces nie dojdzie do końca: zasną sędziowie i oskarżeni, a obok nich zgodnie ułożą się obrońcy z prokuratorem. Sprawozdawcy dziennikarscy już od dawna spoczywają na łonie Morfeusza, a tylko czasem przy użyciu środków orzeźwiających, biorą pióra do ręki i kilkanaście zdań zaspanych napiszą. Obszerność sprawozdań w *Gazecie lwowskiej* tłómaczę sobie tem, że jej sprawozdawca choruje na bezsenność, albo pisze „na wiersze".

Natomiast wysoce interesującą jest sprawa testamentu ks. Bogdana Ogińskiego. Co tu ciekawych typów, ile tu fantazyi! Ten ostatni potomek hetmanów i wojewodów, posiadający taki bezmiar słabej woli, że choć chce, nie może się zdobyć na przekazanie swej olbrzymiej fortuny temu, którego wybrał; dumny tak, że nikomu z „gorszej" sfery nie podaje ręki; gardzący ludźmi, podejrzywający ich, a wydający im arkusze białego papieru, podpisane swem nazwiskiem, stawiający fantastyczne budynki, zaraz się rozwalające — to nie jest niestety typ odosobniony. A ów sekretarz konsystorza, usiłujący przekonać duchownych, że biorąc udział w sfałszowaniu testamentu, uczynią to dla dobra Kościoła! A ów adwokat, Polak, pracujący nad tem, aby polska fortuna magnacka wraz z ziemią, przy pomocy fałszerstwa dostała się w ręce ludzi obcych, niemających nic wspólnego z krajem, lub ten ksiądz, który z całą świadomością, dla marnych pieniędzy, pomaga tej zbrodniczej operacyi — to są już typy rzadkie, niezwykłe, nikczemnością duchową przewyższające głównych sprawców przestępstwa. Ci zaś główni sprawcy, arystokraci, piastujący wysokie stanowiska, którzy nie mając żadnych stosunków z Ogińskim, obcy mu wszystkiem, nietylko religią i narodowością, posiadają tyle niesłychanej bezczelności, że układają fantastyczną bajeczkę o bliskich z nim stosunkach i na tle tej bajeczki przedstawiają się jego testamentowymi spadkobiercami, podają prośbę o przyznanie im jego tytułu i nazwiska, gotowi zmienić religię i narodowość — to już całkiem coś nowego, czego nawet nie przewidział Ben Akiba, dla którego „wszystko już było", dla którego nic dziwnego na świecie. A co za pomysły, jak choćby ten, aby w drodze „skradzionego" walizkę z testamentem dla oparcia się na jego kopii rejentalnej. Przy tych „fantazyach" bledną pomysły Sherloków Holmesów — rzeczywistość dała lepszy niż on romans kryminalny. Ba! nie brakuje i spirytyzmu — duch na seansie wskazuje, gdzie jest ukryty testament.

Dla takich procesów małą jest każda sala sądowa. „Widowiska" tego rodzaju powinny się odbywać na takim amfiteatrze, jaki proponują nam zbudować pod Wawelem. Pomysł ten to wprawdzie nie zbrodnia, ale bądź co bądź przestępstwo przeciw zdrowemu rozsądkowi i pietyzmowi, jakim otaczamy najwspanialszy pomnik naszej przeszłości. Urządzać *circenses* dla 6000 widzów w obliczu grobów królewskich i bohaterów narodowych, łączyć zabawę z olbrzymim majestatem, kalać święte mury huczną, bezmyślną wesołością, to kontrast może efektowny dla obojętnych, ale przykry nad wyraz dla ludzi, kochających relikwie narodowe. Ba, bywały i na zamku turnieje, ale to było w czasie wszechpotęgi, kiedy Wawel był siedzibą królów, a nie tylko, jak dziś, ich grobowcem. Co innego wreszcie turnieje rycerskie, rozmach bohaterskiego ducha, co innego zaś footballe, popisy atletów, gimnastyków, a może nawet klownów cyrkowych. Powie ktoś: wszak pod Wawelem urządzamy wianki — ależ to obchód tradycyjny, pełen poezyi, to zabytek czasów zamierzchłych... Takie tradycye zachowujmy, bo to klejnoty ze skarbca obyczajów narodowych, ale dajmy pokój profanacyi świętego miejsca przez urządzanie pod niem widowisk, bawiących niewybredne gustem tłumy, choćby to nawet były uznane i reklamowane przez dziennikarstwo ćwiczenia sportowe.

Można wreszcie kochać wszelkie sporty a jednak wybierać między nimi te, co są najszlachetniejsze. Jeżeli sport ma służyć dla zdrowia, ćwiczyć mięśnie, to nie znam piękniejszego sportu nad piesze wycieczki za miasto i w dalsze okolice. „Ruchu" w nich z pewnością najwięcej, płuca oddychają zdrowem wiejskiem powietrzem, oko obejmuje szerokie przestrzenie a nie pełza wciąż po zamykających mu świat murach, odpoczywa ucho, zmęczone gwarem ulicznym. To samo już wystarcza, aby wycieczki uznać za środek leczniczy i za najlepszy ze sportów. A jeżeli jeszcze wycieczkowicze umieją patrzeć na przyrodę i za cel podróży obierają okolice i miejscowości, posiadające historyę i pozostałe po dawnych czasach zabytki, to przybywa im coś do głowy, a nieraz serce silniej zabije. U nas jednak tych wycieczek „celowych" jest bardzo mało. Najwięcej pod tym względem rusza się Królestwo, dzięki przedewszystkiem Towarzystwu krajoznawczemu. Za jego przykładem idą różne korporacye i szkoły. Więc niema dnia, aby się nie czytało obecnie w pismach warszawskich o odbytych i projektowanych wycieczkach. Boć to pora najlepsza: nie męczą jeszcze letnie upały, niema też krótkości dnia jesiennego. Jedna z takich wycieczek niedawno zawitała do Krakowa. 50 uczenic pod nadzorem nauczycielek przybyło koleją do Olkusza, a stamtąd pieszo zwiedziło prześliczny Ojców, całą dolinę Prądnika i również pieszo wybrało się do Krakowa.

Trudno oczywiście wymagać od ludzi starszych, aby ci „walili na piechotę", choć niejednemu i toby nie zaszkodziło. Ale od czegóż są koleje i konie? A jednak choć te pierwsze ułatwiają ogromnie poznanie kraju, mało z nich w tym kierunku korzystamy. A przecież gdzie się obrócisz, wszędzie jest coś do widzenia. Naprzykład z Krakowa w ciągu jednego dnia można zwiedzić Bochnię i Wiśnicz, albo Sosnowiec i Będzin, albo Tarnów — a spytajcie się w gronie znajomych, kto zna te miejscowości, a trzy czwarte odpowie, że zna jedną z nich, lub żadnej. A jaką śliczną dwudniową wycieczkę można urządzić do Tarnobrzega (pałac dzikowski) i Sandomierza — dla samej panoramy, wznoszącej się nad Wisłą stolicy Piastów, już warto nieco poświęcić trudu, a w samym tym grodzie mamy prześliczny ratusz z XIV w., piękną katedrę, wspaniałą wieżę opatowską, najpiękniejszy w Polsce zabytek architektury romańskiej w kościele św. Jakóba, dom Długosza i t. d. Więc też dobrą myśl powzięło Koło męskie „Straży polskiej", że pragnie urządzić szereg wycieczek po kraju — aby tylko nie spotkało się z obojętnością. Równocześnie Zarząd główny Straży urządza, jak co roku, większą wycieczkę do Warszawy i Wilna. Oczywiście jestto już rzecz kosztowniejsza i wymagająca więcej czasu, ale kogo stać na to, niech korzysta, a będzie Straży tak wdzięczny, jak ci, co z jej usług już korzystali i z entuzyazmem opowiadają o doznanych wrażeniach i świetnem zaaranżowaniu wycieczki.

Gdzie w tym roku pojechać trudno, to do Poznania, boć nie można, choćby mimochodem, przyczynić się do powodzenia tendencyjnej wystawy poznańskiej, urządzonej przez hakatystów dla zaznaczenia niemieckiego stanu posiadania Wielkopolski. Sam „Kronprinz" otwierał tę wystawę, z której usunięto nawet polskie napisy firm, aby przekonać, że w Poznaniu tylko Niemcy są panami. Społeczeństwo polskie słusznie bojkotuje to przedsiębiorstwo. Zresztą nietylko do Poznania, ale w granice państwa pruskiego wjeżdżać dziś niebezpiecznie. Nuż człowiekowi wypsnęłoby się życzenie, aby kogo dyabli wzięli, a ciężka kara gotowa. Jakiś ślusarczyk w Berlinie wyraził takie życzenie względem dyrektora policyi Jagowa, owego słynnego miłośnika cudzych żon i cenzora moralności w teatrach (dlatego to ma pociąg do aktorek) — i za tę obrazę policyjnego majestatu skazano biednego ślusarczyka na trzy miesiące więzienia. A ponieważ w Berlinie jest przynajmniej stu ludzi, wyższych stanowiskiem od p. Jagowa, wyobraźmy sobie, jaka za ich wysłanie do dyabła spotkaćby mogła kara. Co więcej, my Polacy lubimy odrazu wysyłać kogoś nie do jednego dyabła, tylko do stu dyabłów, czego naturalnie sądy berlińskie przy wymiarze kary „uwzględnić" by nie omieszkały. Więc łatwo możnaby za podobną obrazę jakiej znacznie wyższej od Jagowa osobistości przesiedzieć się całe życie w więzieniu pruskiem i jeszcze nie ukończyć „sprawiedliwej" kary. Dobrze przynajmniej wiedzieć, że Prusacy dyabła się boją — możemy ich tu do stu par dyabłów lub do tysiąc fur beczek batalionów dyabłów bezpiecznie wysyłać.

Jak dyabeł święconej wody, bał się dr. Gross Koła polskiego. Ale miłość mandatu i tego niezwyciężonego męża zaprowadziła do Canossy. Nasi krakowscy demokraci już przed miesiącem opiewali to „zwycięstwo" (tego wyrazu użyła *N. Reforma*), ale dopiero teraz mają prawo chlubić się tym wiekopomnym czynem. I słuszna radość w tym obozie. Kto mógł Grossa zapędzić do Koła polskiego, tego już bramy piekielne nie przemogą. Demokracya krakowska nic dotychczas dla kraju nie zrobiła, ale ten jeden czyn stawia ją na równi z najzasłużeńszemi stronnictwami. Przybyła krajowi, ba! ojczyźnie pierwszorzędna siła, przybył mąż nietyle wielkiej co grubej miary. Już teraz możemy spać spokojnie. No i mieszkać możemy wspaniale. Bo jeżeli dr. Gross sam wywalczył X. milionów na budowę domów z tańniemi mieszkaniami, to krocząc na czele szeregów Koła, dziesięć razy po X. milionów na ten cel wywalczy. Maluczko, a będziesz mógł człecze krakowski mieć 4 pokoje na II. piętrze za 300 koron, jak to jeszcze przed laty piętnastu bywało.

Żart żartem, ale lubo tryumf demokracyi krakowskiej z ukołowienia dra Grossa nadaje się do humorystyki, to wejście jego do Koła może być pożyteczne. Nie dlatego, abyśmy wierzyli, że żydzi nasi się ukrajowią, ale dlatego, że p. Gross ma sporo zmysłu praktycznego i jest czuły na nędzę ludności. Może więc prócz tanich mieszkań jeszcze coś na rządzie wymęczy, może coś wychodzi. Przypuszczam n. p., że nie będzie tak naiwny, aby dla potanienia mięsa radził je dalej sprowadzać z Argentyny, kiedy o miedzę mamy mięso znacznie tańsze, bo nie ponoszące olbrzymich kosztów transportu, no i lepsze, bo nie przemarzłe i nie przerosłe tłustością — no i wreszcie lepiej, aby Królestwo polskie coś na nas zarobiło, niż jakaś Argentyna.

Oddając to, co się należy, dr. Grossowi, stosuję się tylko do zasady *suum cuique*, o której tak często zapominamy. Z przyjemnością też przeczytałem w *Gazecie Warszawskiej*, organie endecyi, wspomnienie pośmiertne o ś. p. Janie Popielu. Był to tak zwany realista, a więc endecyi wróg zacięty, ale lubo *Gazeta Warszawska* zaznaczyła to jego stanowisko, dodała jednak: „niemniej dobrze byłoby, aby nasz kraj miał więcej obywateli tak gorąco przywiązanych do ziemi ojczystej, tak gorliwie dla niej pracujących i z takim stałym, nigdy nie wygasającym zapałem biorących do najpóźniejszej starości udział we wszystkiem, co losów kraju dotyczy".

Straszna katastrofa awiatyczna.

(Do illustracyi na str. 4).

Do całego szeregu tragicznych wypadków, jakimi znaczy się rozwój awiatyki, przybył nowy, tem straszniejszy, że ofiarami jego byli widzowie i to widzowie wysoko postawieni, kierownicy nawy państwowej Francyi. Nie dziw też, że katastrofa okryła żałobą rzeczpospolitą i znalazła oddźwięk daleko poza jej granicami.

21 b. m. miał się odbyć start aeroplanów, biorących udział w konkursowym locie z Paryża do Madrytu; początkowo projektowano lot Paryż-Berlin, ale z łatwo zrozumiałych przyczyn zmieniono cel napowietrznych wyścigów. Redakcya gazety *Petit Parisien*, urządzająca ten konkurs, zaprosiła na próbne wzloty cały rząd republiki z prezydentem Fallières'em i premierem Monis'em na czele. Prócz tego pokryło się pole licznymi tłumami publiczności. Porządek utrzymywały piesze i konne oddziały wojska.

Awiator Train wzniósł się na aeroplanie własnej budowy do wysokości 30 metrów i okrążył parokrotnie plac. Nagle aparat zaczął poruszać się nieprawidłowo i widzowie ze zgrozą ujrzeli go nad swemi głowami. Silny wiatr nie pozwolił lotnikowi kierować nim swobodnie, a maszyna opadała coraz niżej. Train wyminął z trudnością oddział kirasyerów i starał się dostać na środek pola, ażeby tam wylądować. Utrzymywał się już tylko na wysokości 3 metrów. Nagle wpadł między grupę publiczności, uciekającej z trybun, którą zasłaniały mu skrzydła aeroplanu. Aparat runął na ziemię, a równocześnie rozległy się rozpaczliwe krzyki trwogi i bólu...

Pomiędzy ofiarami znaleźli się prezydent gabinetu Monis i minister wojny Berteaux. Ten ostatni odniósł tak ciężkie rany, że umarł, nie odzyskawszy przytomności, Monis zawdzięcza życie tylko tej okoliczności, że pociągnięty przez syna, pochylił się nieco. Mimo to doznane przez niego obrażenia są poważne. Uskarża się także na bóle wewnętrzne. Lekarze jednak zapewniają, że życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo.

Sledztwo sądowe wykazało, że lotnik Train nie ponosi winy wypadku. Spowodował go raczej niezwykle silny wiatr i brak przytomności umysłu u publiczności, wśród której zamieszanie powiększali jeszcze rozpędzający ją brutalnie kirasyerzy.

Premier Monis otrzymuje ze wszech stron objawy współczucia. Odwiedził go dotąd tylko prezydent Fallières i kilku kolegów w sprawach urzędowych. O śmierci ministra Berteaux nie uwiadomiono dotąd chorego.

Policya zabroniła dalszych wzlotów, ale Monis, uwiadomiony o tem zarządzeniu, zniósł je natychmiast. Wobec tego lot Paryż Madryt odbędzie się tak, jak tego oczekiwano.

Czy okaże się potrzebną rekonstrukcya gabinetu na czas choroby Monisa, to jeszcze nie jest pewne. Rozstrzygnięcie tej sprawy nastąpi dopiero po pogrzebie ministra Berteaux, który ma się odbyć we czwartek lub w piątek.



Korso kwiatowe G. K. A: Automobile pp. Preka i inżyniera Richtmana, ozdobione kwiatami.



Korso kwiatowe G K. A: Powóz prof. Wiczkowskiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Łódź motorowa pomysłu Krakowianina.

Ogromny postęp techniki i rozwój jej w ostatnich latach, zachęca coraz częściej i Polaków do udziału w tryumfach wiedzy i nauki, do przedsiębrania śmiałych pomysłów i przeprowadzenia ich mimo ciężkich warunków, mimo wielu przeciwności.

Swieżym objawem sympatycznej samodzielności jest wykonanie pierwszej łodzi motorowej przez mechanika krakowskiego Stanisława Bisztygę, wedle jego własnego pomysłu. P. Bisztyga przebywał przez szereg lat za granicą, celem wykształcenia się w tym zawodzie, pracował następnie pod kierunkiem mechanika uniwersytetu Jagiellońskiego p. Grodzickiego.

Już dawniej pracował p. Bisztyga nad wykonaniem motoru benzynowego własnego pomysłu, a dokonawszy tej pracy, postanowił zastosować go do łodzi, również przez siebie skonstruowanej.

Łódź ta, podobnie jak motor o sile 7 HP., w całości w Krakowie i z tutejszego materyału wykonana, przeznaczona jest na trzy osoby.

W ubiegłą sobotę dokonano z tą łodzią pierwszej próby na Wiśle. Mimo wysokiego stanu wody, mimo bardzo silnego prądu, łódź p. Bisztygi posuwała się lekko i szybko w górę rzeki, dowodząc, iż zadanie, jakie wynalazca i konstruktor przedsięwziął, zostało zupełnie szczęśliwie rozwiązane.

Łódź motorowa p. Bisztygi jest pierwszą dotychczas, która na falach Wisły pod Krakowem się pojawiła. Oby szczęśliwy wynik usiłowań dzielnego Krakowianina był zadatkiem dalszych, równie pomyślnych, kroków na tem polu.

Srebrne gody mieszczanina krakowskiego.

Swietne są tradycye mieszczaństwa polskiego, a zwłaszcza krakowskiego. Szczerze patryotyczne, przywiązane całem sercem do wiary ojców, ofiarne na cele publiczne, świadome poważnych zadań, na niem ciążących, kroczyło zawsze w pierwszych szeregach społeczności polskiej, świecąc innym klasom przykładem i wzorem.

Takiem było mieszczaństwo krakowskie dawniej, takiem jest po dziś dzień. Jednym z godnych przedstawicieli jego jest dziś ceniony powszechnie obywatel i przemysłowiec, majster masarski Józef Bialik, b. starszy cechu masarzy i rzeźników i radca miejski.

Krakowianin z rodu, tu wychowany, tu też założył przed ćwierć wiekiem pierwszorzędny zakład masarski, który dzięki energii swej i sumienności, postawił wnet na prawdziwie europejskim poziomie.



Korso kwiatowe G. K. A: Grono cyklistów z udekorowanymi rowerami.

Wędliny z fabryki masarskiej p. Bialika słyną nietylko w Krakowie, ale szeroko po za jego granicami, a najlepszym dowodem tego jest fakt, iż znajdują one ogromny popyt i w Wiedniu, gdzie przy Kärtnerstrasse i Fugbachgasse posiada ta fabryka dwie swe filie. Ponadto eksportuje p. Bialik swe wyroby do Bośni i Hercegowiny, do Tryestu i do Francyi.

W ubiegłym tygodniu minęło właśnie 25 lat od chwili, gdy p. Bialik rozpoczął prowadzić samo dzielne przedsiębiorstwo, a jubileusz ten zbiegł się ze srebrnem weselem, z dwudziestopięcioleciem jego szczęśliwego pożycia z małżonką Anną z Kwiecińskich, również Krakowianką.

Z okazyi srebrnych godów i ćwierćwiecza prowadzania fabryki, otrzymali pp. Bialikowie z wielu stron serdeczne życzenia i gratulacye a liczne grono gości, podejmowanych ze staropolską serdecznością w domu Jubilatów, świadczyło wymownie o sympatyach otaczających ich oboje.



Łódź motorowa pomysłu Krakowianina: Łódź motorowa konstrukcyi mechanika Bisztygi na falach Wisły pod Krakowem

Cezary Jellenta.

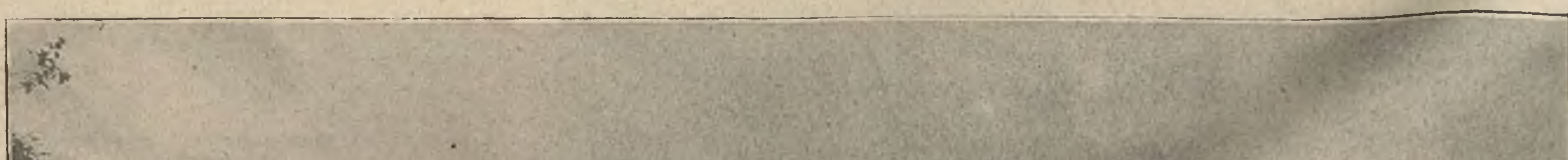
Robiono Cezaremu Jellencie zarzut, że tworzy tylko dla wybranych, dla ludzi o wyższej kulturze duchowej. Rzeczywiście lektura dzieł tego wybitnego pisarza nie przyniesie korzyści człowiekowi bez pewnego literackiego wykształcenia, a przedewszystkiem człowiekowi bez silnie rozwiniętego zmysłu odczucia piękna. Ale czyż nie dla takich pisze właśnie poeta i estetyk?

Nadzwyczajna subtelność, wstręt do silnych a tanich efektów i wykwintna forma — oto cechy zarówno poematów i powieści, jak i studyów z zakresu literatury i sztuki Jellenty. Dawszy się poznać publiczności czytającej szeregiem poematów — przeważnie w formie dramatycznej — przerzucił się na niwę krytyki i ogłosił cały szereg prac wielkiej wartości n. p. o Dantem, o Norwidzie, o Słowackim, przez lat kilka redagował warszawskie Ateneum, gdy zaś pismo zostało w r. 1906 przez rząd zawieszone, wydawał je dalej w Dreźnie. Jego „Linie Hofera" daleko odbiegają od zwykłego szablonu powieściowego, są natomiast świetną analizą uczuć i myśli artysty, a przytem zawierają wiele oryginalnych poglądów na muzykę i malarstwo.

W ostatnich latach dał się Jellenta poznać publiczności Krakowa i innych miast galicyjskich szeregiem odczytów literackich i estetycznych, które dzięki swej nowej i głębokiej treści oraz skończonej formie, cieszyły się wszędzie powodzeniem. Atoli koroną jego działalności krytycznej jest najnowsze dzieło „Druid Juliusz Słowacki" (Wyd. F. West. Lwów—Brody 1911).

Dzieło to należy do zakresu krytyki syntetycznej, dalekiej od sekcyonowania na zimno porywów poety, kuszącej się natomiast o roztoczenie barwnego, życiem kipiącego obrazu jego twórczości. Jellenta za pomocą świetnej, choć śmiałej, hipotezy godzi pewne sprzeczności pozorne, dające się zauważyć w duchowym rozwoju wieszcza i objaśnia mnóstwo punktów dotąd niezrozumiałych. Można się z nim godzić lub nie godzić, ale niepodobna dziełu jego odmówić nadzwyczajnej bystrości, nie przyznać, że w wielu wypadkach jego tłómaczenie jest jedynem rozwiązaniem dotychczasowych zagadek. Ale największą zaletą utworu jest to, że Jellenta przystępował do pracy swej z wielkiem umiłowaniem poety i dzięki temu przewyższył wszystkich swych poprzedników, ktorych oschłość naukowa niejednokrotnie zawiodła na manowce. Dodać należy, że forma, w jaką ujął swe poglądy, jest nadzwyczaj wytworna i piękna, że forma ta czyni ze studyum krytycznego, prawdziwe dzieł sztuki twórczej.

Mimo gruntownej erudycyi, widocznej na każdym kroku, i naukowego traktowania przedmiotu, rzecz czyta się, jak gdyby to był poemat w prozaicznej formie. Tylko ci, którzy sami wysoko stanęli w poezyi, zdolni są do takiego pisania o dziełach innych.



Srebrne gody mieszczanina krakowskiego: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej fabryki masarskiej p. Józefa Bialika oraz srebrnych godów p. Bialika (X) i jego małżonki Anny z Kwiecińskich (XX)

Rozwiązanie zagadek z Nr. 19.

Zadanie konikowe:

Już się piąta zima znaczy,
Jak w tych starych murów cieniu
Walczym z odwagą rozpaczy
Przeciw mózgów rozmiękczeniu.
Walczym mężnie, lecz bez wiary
Przeciw tej krakowskiej hydrze,
Patrząc, rychło li ofiary
I z naszego grona wydrze.

Krzyż magiczny:

W R I
ł a n
a t n
W ł a d y s ł a w
R a t y z b o n a
I n n s b r u c k
ł o u
a n c
w a k

Łamigłówka:

D o r n a
A d r l a
O s i k a
A ł ł a h
T o r b a
I n k a s
W i s ł a
D ę b u
C h e ę
M i l k a
S e l i m
P l e s s
O l g a
M r o k

Zadanie do przestawienia: Nauka w las nie idzie.

Łamigłówka:

Jan
ara
kot
oni
pół
osa
nil
zet
aar
tok
ile
rok
rak
gra
mul

Logogryf:

M
S a k
K a r a ś
M a r y u s z
D y a n a
G i l
E l y
D a n t e
T a i t i
W a e i o
O k a
R a c ł a w i c e

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, K. Tomaszewski Lwów, M Kalinowska Pławo, J. Leszczyński Sanok, S. Kaniewski Tarnobrzeg, M. Potocka Kraków, K. Wilczkiewicz Sandomierz, W. Radwańska Piotrków, D. Sedyńska Kraków, J. Łopatkiewicz Kraków, W. Radoszewski Jasło, W. Ossowski Warszawa, A Biliński Tarnopol, W. Thun Płock, W. Kaliszewski Petersburg, S. Bukowski Kijów, J. Jaroszewski Sandomierz, K. Cegielski Jasło, M. Pick Łódź, J. Wacławowicz Krosno, M. Więckowski Warszawa, J. Czernecki Złoczów, K. Laurecki Lwów, J. Krysakowski Lwów, K. Giiński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol, D. Rogosz Cieszyn, J. Jakubowska Kraków, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, W. Świrski Sandomierz, J Przeworski Toruń, M. Ciesielska Poznań, K. Kwaśniewski Jasło, O. Lisowski Kołomyja, S Ostrowski Tarnów, J Kopczyńska Bierzanów, R Knapik Tarnopol, T. Jeziorski Oświęcim, F. Horak Lwów, T. Nikiel Wiedeń, J. Wilczkiewicz Jasło, M. Bałuk Krosno, J. Jahoda Cieszyn, F. Piątek Podwołoczyska, K Broda Strzyżów, M. Wojkowski Tarnopol, I Brzostowski Krosno, J. Piasecki Stanisławów, A. Serwatowska Warszawa, J. Łopatyński Lwów, H. Zielińska Rzeszow, F. Sontag Piotrków, W. Nowacki Lwów, M. Sadowska Kraków. J Michalski Jaworów, K Schmidt Lwów, J. Lemiszewski Stanisławów, H. Rosenbaum Mielec, L. Ciszewski Radomyśl, K. Zerygiewicz Stanisławów, J. Wyka Rzeszów, K. Zachara Sanok, H. Rosenbaum Mielec, M. Klappholz Rzeszów, J Trojacki Wiedeń. W. Urban Lwów, H. Morawska Rzeszów, M. Malinowska Winnica, C. Wang Rzeszów, J. Engelberg Rozwadów, K. Balicki Stanisławów, J Bernstein Warszawa, W Hołubasz Stanisławów. J. Dzikowski Tomaszów, K. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, H Piątek Podwołoczyska, W. Obraczay Cieszyn, K. Armatys Cieszanów, J. Czarkowski Ulanów, M. Moszyński Lwów, J. Stępień Budapeszt, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Lipowski Jasło. H. Gromnicka Lwów, J. Sapecki Poznań, S Krzyżanowski Podgórze, H Barnat Lwów, J Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K. Ogibiński Kraków, H. Bielawska Sambor, J. Popiel Rzeszów, K. Wodziński Kraków, K. Fuchs Czeremchów, M. Stolarski Kraków, J. Skalski Podgórze, F. Frankowicz Zakopane, L. Karwowski Poznań, K Cegielski Berlin, M. Woźniakowska Radom, S. Darowska Zakopane, B. Świtlikowa Rzeszów, F. Sobalta Stryj, E. Bogdalska Koropuż, M. Serbeńska Budzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **B. Świtlikowa, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wycieczka „Straży Polskiej“ do Warszawy i Wilna wyruszy z Krakowa dnia 20. czerwca b. r. Koszta podróży: III klasą (kolej w obie strony, hotele, obiady i wstępy do muzeów) wyniosą od osoby 150 kor., II klasą 185 kor., dla jadących tylko do Warszawy (bez zwiedzenia Wilna) i z powrotem: III. klasą 90 koron, II klasą 105 koron.

Każdy z uczestników może bez dopłaty zatrzymać się kilka godzin, lub dzień cały w Częstochowie. Pobyt w Warszawie, z wycieczką do Wilanowa, zabierze dni sześć: cała wycieczka z podróżą odbędzie się w dniach dwunastu. — Zgłoszenia zadatkiem 30 kor. przyjmuje „Straż Polska“ (Kraków, ul. Floryańska 1. do dnia 5. czerwca b. r.

Wszyscy uczestnicy wycieczki powinni się zaopatrzyć w paszporty wizowane w konsulacie rosyjskim — Wycieczka staje w pierwszorzędnych hotelach i obiaduje w pierwszorzędnych restauracyach.

Z półek księgarskich.

Od stycznia br. wychodzi w Krakowie pod redakcyą dra. Zygmunta Mandla, miesięcznik **Słowo prawnicze,** pismo poświęcone zawodowym interesom adwokatury. Nie zasklepia się ono w sferze ścisłej wiedzy prawniczej, owszem umieszcza artykuły treści ekonomicznej i społecznej obchodzące ogół.

Słowo prawnicze omawia wyczerpująco a objektywnie wszystkie przejawy życia palestry polskiej, a dzięki współpracownictwu wybitnych sił prawniczych, profesorów uniwersytetu, posłów do Rady Państwa, adwokatów sędziów i t. d zyskuje sobie coraz szersze uznanie. Jako jedyne tego rodzaju pismo w kraju wypełnia **Słowo** oddawna dającą się czuć lukę w piśmiennictwie naszem.

Adres Redakcyi: Kraków, ul Wrzesińska L. 1. Prenumerata roczna K 5.

Treść nru 4, z dnia 5 maja 1911: Z judykatury procesu cywilnego — Kwestya kredytowa — Uznanie wierzytelności cedowanej w ustawodawstwie skarbowem — Z chwili — Pod adresem Prezydyum c. k. Sądu — Orzeczenie dyscyplinarne — Zmiany w adwokaturze — Książki nadesłane do Redakcyi — Od Redakcyi.

Maryan Jastrzębiec. „W obronie czci Jasnej Góry“. Poznań. Nakład Polsko-katolickiej księgarni Z. Rzepeckiego i S-ki Stronic 191 — Jest to praca napisana z wielką wiarą, wielką miłością Matki Najświętszej, królującej na Jasnej Górze i goracym patryotyzmem. P. Jastrzębiec daje najpierw historyę Obrazu cudownego i klasztoru, opisuje zabytki, pamiątki znajdujące się tam, później opisuje straszną zbrodnię, wrażenie, jakie wywarła i tu zastanawia się, jak mogło stać się to i co czynić dziś należy. Ta część dzieła jest najważniejsza.

Pod względem typograficznym książka jest starannie wydana, ozdobiona licznemi fotografiami klasztoru, portretów osób, które w historyi Jasnej Gory miały znaczenie, pamiątek tam przechowywanych. Napisana bardzo ciepło, czyta się z zajęciem, a ostatnie rozdziały nawołujące do zastanowienia, nietylko zajmują czytelnika, lecz robią głębokie wrażenie.

NADESŁANE.

(Rozszerzenie fabryki). Tow. komandytowe fabryki dla wyrobów metalowych „Wiktorin i Sp.“ z powodu kolosalnego podniesienia się jego wyrobów — widziało się zmuszonem zakłady swoje znacznie rozszerzyć a tak samo i pewną ilość filii we wszystkich większych miastach w Austro-Węgrzech pozakładać. W maju ma się odbyć otwarcie pierwszych filii w Bernie i Budapeszcie.

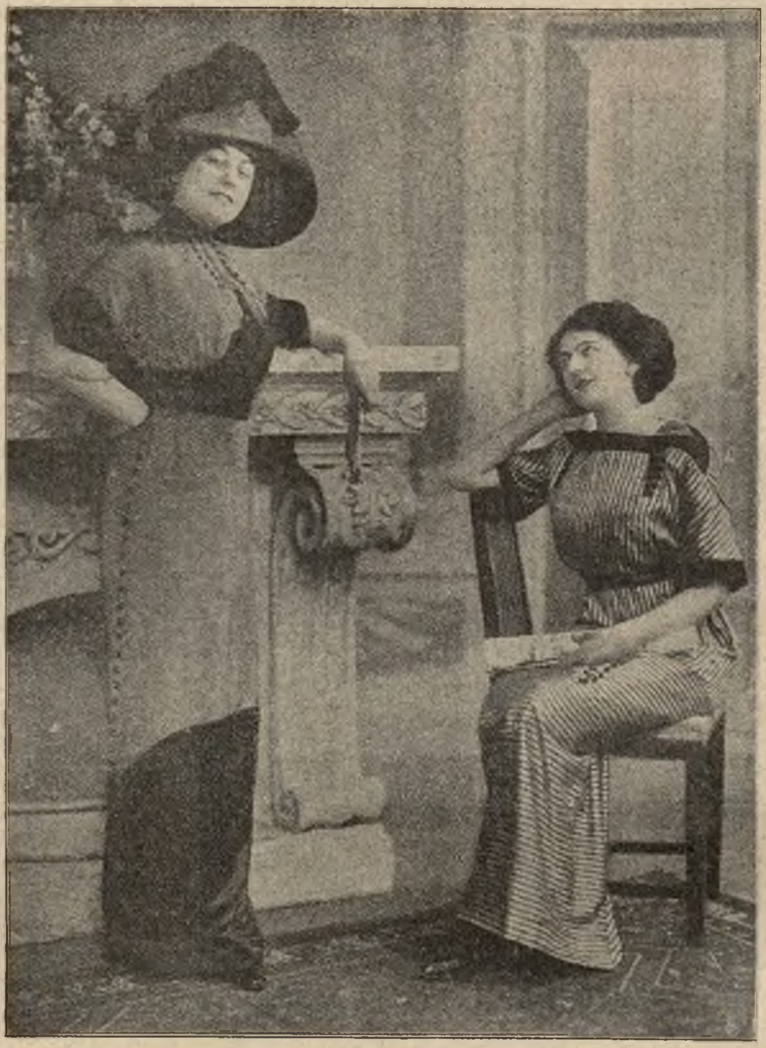
Największą sławą cieszą się dziś motory **Benz,** jako najtrwalsze i najszybsze. Automobile marki „**Benz**“ uzyskały rekord szybkości, przeszło 228 klm. w godzinie. Firma **Benz** posiada w Krakowie filię. Telefon 1026. Bliższe szczegóły w ogłoszeniu na str 19.

Ze świata kobiecego.

Elegancya drobiazgów.

Zapolska w jednej z niezrównanych swych nowel pisze o człowieku, który przestał kochać bardzo umiłowaną i pożądaną kobietę, gdyż raziły w niej drobiazgi toaletowe w złym smaku; nieznośnym mu był zapach wody kolońskiej „kwiatowej“, podwiązki zapięte pod kolanami i bielizna z szydełkowemi koronkami. Zapewne, że w teoryi zmienienie uczucia dla tak błahych racyi jest karygodnem, niemniej nie zdoła ono obalić przeświadczenia, że człowiek z wysoką estetyczną kulturą nie zdoła przyzwyczaić się do brzydkich szczegółów, szczególniej gdy rażą one kontrastem przy całości w dobrym tonie. Szydełkowe „ząbki“ przy rękawie koszuli wieśniaczki z Bronowic lub Mogiły są ładne i właściwe; brukselska lub irlandzka koronka, mająca za tło kwiecistą materyę spódnicy lub gorsetu, byłaby rażącą i śmieszną. Ale kobieta, ubrana „według żurnalu“, mająca kostyum *tailleur* czy *élégante soirée*, nie może zapominać, że drobny nieraz na pozór szczegół: rękawiczka źle obciągająca rękę, krawat w złym guście, żabot ukrochmalony i spięty ordynarną agrafką, są w stanie zepsuć w zupełności elegancką całość.

Materyał na suknię doradza właściciel sklepu, a w dobrych magazynach nie znajdziecie nawet materyałów niegustownych; sposób zrobienia jest zawsze działem magazynierki; na zrobienie niegustownego kapelusza nie zgodzi się żadna modniarka. Drobiazgi tylko każda dama wybiera według „własnego gustu“, często z doskonałym skutkiem psując całość toalety. Jeżeli często tak bywa, winić w tem musimy źle zrozumianą oszczędność naszych pań, które, aby kupić jakiś szczegół toaletowy o kilkadziesiąt halerzy taniej, udają się na Stradom lub Kazimierz, gdzie wciskają im jako rzekomo przedmioty modne, różną tandetę, obrzydliwie niegustowną, nietrwałą i niemodną, która okazuje się niezmiernie drogą,



Suknia wizytowa koloru *blen ancien* (błękit szarawy) przybrana u dołu szerokim pasem z aksamitu mieniącego *vert lierre* (ciemna zieleń mieniąca z granatowem). Dół kimona i rękawów takimże aksamitem objęty. Guziki z *argent oxidé*. Kapelusz z tengali błękitnej, przybrany czarnemi piórami. Suknia domowa z materyału tenisowego, przybrana suknem w barwie pasków, oraz pasmanteryjnemi guziczkami.



Kapelusz z blado-żółtej tengali, pokryty kwiatami groszków o ciemnych aksamitnych liściach. Równie pięknie nada się tu kwiat glicynii.

gdyż krytykowana przez wszystkich, którzy mają śmiałość swych opinii, po kilkorazowem użyciu zostaje oddaną służącej, a właścicielka nadąsana i niezadowolona udaje się tam, gdzie powinna była pójść od razu — do firm pierwszorzędnych polskich, które umieją wymagać od swych pracujących anielskiej cierpliwości i wersalskiej grzeczności w stosunku do pań, które dla wybrania czasem trzech guzików do „kimono“, umieją godzinę się namyślać i siedzieć nad tablicą okazową, jak wódz nad mapą strategiczną w przeddzień wielkiej bitwy. Co prawda wybór jest trudny, gdy jest tak wielki, jak tam bywa. Choćby właśnie guziki, któremi moda tak fantastycznie przystraja spódnice, bluzki i żakiety; trzeba wiedzieć jakich do czego się używa. Otóż do kostyumów angielskich przyszywa się guziki z prawdziwego rogu bawolego, lub gładkie perłowe, w odpowiednim tonie. Guzików żetowych używa się tylko do rzeczy czarnych. Do sukien kolorowych wybór guzików jest nadzwyczajny z metalu, pasmanteryi, galolitu i imitacyi kamieni. Tu doradzam największe unikanie tanich sklepów, bo w dziedzinie guzików fantazyjnych trafiają się potworne, które najusilniej wciska się kupującemu ze słowami: „weź pani te, najmodniejsze... paryskie...“

To samo niebezpieczeństwo grozi przy torebkach; te pieścidełka fantazyjne z kolorowych paciorków, haftowane na antycznych materyach, lub złotej lamie, mogą łatwo zepsuć toaletę zbytnią krzykliwością, lub brakiem harmonii. — Najelegantsze będą zawsze skórkowe, nieprzesadnie duże, na długim sznurze z chwastami, który przewiesza się przez ramię. Sznur wyrugował również paski; wynikło to ze zmiany mody, gdy spódnica, miast kończyć się w talii, podniosła się o kilka lub kilkanaście centymetrów, a potrzebując jakiegoś zakończenia, nie może stosować paska z klamrą, który psułby całość. Dlatego moda wprowadziła sznury; bądź w barwie sukni, srebrny, lub złoty, często oksydowany, zakończony chwastami i grelotami. Ślicznie harmonizuje z wydłużonymi konturami obecnej mody. Również dostosowaniem się do sukien tego sezonu jest wielka rozmaitość kołnierzyków koronkowych i batystowych. Ponieważ wycięcie bluzek bywa coraz głębsze i szersze, kołnierzyk, z natury rzeczy, zmniejszył swe rozmiary; najczęściej kolisty, haftowany, gipiurowy, lub zdobny mereszkami. stanowi niezmiernie ważne wykończenie toalety, obramowując szyjkę kobiecą, którą tak ogólnie przyjęło się pokazywać na ulicy. Lekkie spacerowe toalety wykończa szal, który niezmiernie nadaje się do podniesienia wdzięku kobiecego. W tym roku utrzymuje się jeszcze w panowaniu szal turecki, choć i jednobarwne z *crêpe de Chine*, nigdy wyrugowane nie zostaną i zawsze będą dystyngowane, a przy coraz większem wzięciu automobilów, wprost nieodzowne. Szale takie na czapkach, zwanych awiatorami, z kortu lub jedwabiu, są koniecznym szczegółem w wyekwipowaniu wycieczkowem. Nasunięte dobrze na twarz zastępują parasolkę, którą wystarcza mieć przy pieszych spacerach. Najmodniejsze są dwunastodrutowe, gładkie i mieniące, z podbiciem tureckiem. Nosi się parasolki zawieszone na wstążce, lub podpiera się niemi jak laską.

Krawaty, ładne zawsze przy angielskiej bluzce, mniej są noszone w tym roku od żabotów, które, szerokie od góry i mocno zwężające się ku dołowi, z pięknej koronki lub haftu, są najelegantszem przystrojeniem kostyumu angielskiego.

Wielka jest też rozmaitość w woalkach i tu widzimy szczególne przeciwieństwa. Najmodniejsza jest siatka, tak rzadka, że w otwory jej swobodnie wkłada się palce. Kto nosi ten rodzaj woalek, uważać musi, aby na koniec nosa wypadło skrzyżowanie siatki, nader komicznie bowiem wygląda, gdy nosek wysunie się ciekawie z pomiędzy krat siatki. Drugim modnym typem woalki jest gęsta z blondyny białej lub *point de Paris*, dół której przybiera się aplikacyą. Twarz za taką woalką ledwo się zarysowuje, nadaje to pewną pikanteryę kobiecie i chroni od promieni słońca, mniej właściwszą jest dla zwiędłych twarzy, niż tych, które nie obawiają się promieni słońca i oczu ludzkich.

Najmodniejsze rękawiczki są z jedwabnej tkaniny *gants de Saxe*, idealnie miłe w noszeniu, nie praktyczne jednak i kosztowne, nie ma bowiem sposobu uprania ich; przy zetknięciu z wodą, lub benzyną rozpływają się nieledwie.

Bezwątpienia eleganckie te szczegóły toaletowe są z natury rzeczy dość drogie, nabywać je mogą albo kobiety bardzo bogate, albo bardzo rozumne, które pojęły, że lepiej sprawić sobie jedną suknię miast dwóch, niż zepsuć obie lichymi, tanimi dodatkami. Przy zasadzie: „mało a dobrze“, każda kobieta może ubrać się wykwintnie.

Ramo..



Parasolka z czarnego jedwabiu w zakładeczki, brzeg objęty wodą z białej lekkiej materyi. Kij prosty, wysoki, przybrany wstążką czarną i białą. — Parasolka z jedwabiu *vert de mer*, malowana w margeritki. Kij jasny, wstążka koloru tła.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

59

Było jednak już zapóźno. Obłąkana zniknęła. Przeszukano całą avenue i wszystkie sąsiednie ulice, zawiadomiono natychmiast prefekturę, a tymczasem dorożkarz wiozący Ludwikę jechał spokojnie przez Pola Elizejskie. W dziesięć minut potem młoda panna wysiadała przed dworcem, a dorożkarz mówił do tragarza:

— Niech ją pan zaprowadzi do kasy... Nie umie ani słowa po francusku...

— A dokąd jedzie?

— Do Biarritz.

— Gdzie ma bagaże?

— Pewnie u portyera.

— Dobrze!... Ona ma jakąś dziwną minę!

— Cóż dziwnego! Gdy się jest pierwszy raz w jakiem miejscu... Gdy nie można nic powiedzieć ani zrozumieć... Trudno mieć wtedy mądrą minę...

— Rzeczywiście!

Ludwika uśmiechnęła się bezmyślnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Zupełnie automatycznie, nie myśląc nawet o tem, poszukała pieniędzy, by zapłacić dorożkę, z której wysiadła. Wyjęła z kieszeni jednego luidora, których kilka wsunęła w domu do sukni i podała dorożkarzowi.

Taksometr wskazywał franka sześćdziesiąt pięć.

— Dobry kurs... — szepnął do siebie dorożkarz, I oddał pasażerce trzynaście franków trzydzieści pięć centymów, biorąc sobie pięć franków na piwo. Widząc, że cudzoziemka nie protestuje, ukłonił się jej nisko i pośpiesznie odjechał.

— Tędy — rzekł tragarz, dając znak pasażerce by za nim poszła.

Zaprowadził ją do kasy.

— Która klasa? — zapytał. — Trzecia?... Druga?.. Ludwika kiwnęła nieświadomie głową.

Nachylił się do okienka i rzekł do kasyera:

— Druga Biarritz...

— Sześćdziesiąt franków piętnaście centymów.

— Do dyabła! — mruknął tragarz — jak ja jej to teraz powiem?... Nie rozumie ani słowa po francusku.

I powtarzał jej na wszelki sposób:

— Sześćdziesiąt franków piętnaście centymów.

Ludwika wyjęła kilka luidorów i położyła je przed okienkiem. Kasyer odliczył należność i resztę jej odsunął. Obłąkana, naśladując gesty tragarza, zebrała pieniądze i schowała je do kieszeni.

— Ludzie inteligentni — wyrzekł tonem sentencyonalnym jej przewodnik — zawsze mogą się porozumieć... A pani bagaże? Ma pani na nie kwit?

Tym jednak razem najwyraziststa jego mimika nie wywołała żadnego skutku.

— Gdyby ta pani miała bagaże — myślał tragarz — kręciłaby się po dworcu i niepokoiła, by bez nich nie pojechać... Puste ręce znaczą, że niema żadnego bagażu... Bardzo dobrze!... A teraz proszę tędy!...

I zaprowadził Ludwikę na peron, z którego odjeżdżają pociągi.

— Oto — tłómaczył — express odchodzący o ósmej minut dwadzieścia siedem. Może pani wsiąść zaraz...

— Tak... zaraz... — powtórzyła Ludwika.

— Ależ pani mówi trochę — zdziwił się tragarz. — Powinna mnie więc pani rozumieć... To jest pociąg, który odchodzi zaraz .. Jest także drugi o dziesiątej minut dwadzieścia pięć... Tym pierwszym nie dojedzie pani prędzej, niż drugim... Ale przynajmniej nie będzie się pani tu nudziła przez dwie godziny...

Ludwika starała się zrozumieć, co jej mówiono. Marszczyła brwi i wydawała się niespokojną.

Tragarz zadecydował jednak za nią.

— Niech pani siądzie do tego wagonu... Będzie tu pani dobrze...

Podsadził ją i młoda panna dostała się szczęśliwie do damskiego przedziału.

Tragarz nie wychodził mimo to jeszcze, lecz stał przed nią z wyciągniętą ręką:

— Napiwek.. — rzekł. — *Tip... Tringeld... Buona mancia..*

Ludwika domyśliła się tym razem, o co chodzi. Umysł jej na chwilę stał się jaśniejszym. Włożyła rękę do kieszeni, wyjęła z niej pieniądze, jakie dostała z reszty od dorożkarza i oddała je swemu przewodnikowi. Tragarz ukłonił się jej głęboko.

— Czy prędko będę w Biarritz?

Pytanie to zdumiało go.

— Sapristi! Pani doskonale mówi, gdy chce... W Biarritz? Będzie tam pani jutro około pół do dwunastej w południe...

— Piotr tam już jest...

Władze jej umysłu znowu się zaciemniały. Obłąkana mówiła teraz do siebie. Po chwili straciła zupełnie świadomość siebie. Ludwika była obecnie już tylko automatem, wykonywującym pewne zwykłe ruchy, lecz nie zdolnym do wypowiedzenia całego zdania. Tragarz popatrzył na nią w niepewności, potem ukłonił się po raz wtóry i opuścił wagon.

Wkrótce pociąg ruszył i młoda panna, ukołysana miarowym stukiem kół, zasnęła. Spała przez całą noc. Rano obudziła się w Bordeaux i zapytała, czy to już Biarritz. Potrafiła także kupić sobie kilka ciastek, które chłopiec z restauracyi kolejowej obnosił po wagonach. Zjadła je i znowu wpadła w głęboki sen. Tak przespała i Biarritz.

Obudziła się dopiero, gdy pociąg stanął w Hendaye i gdy wszyscy zaczęli wychodzić. Instynktownie poszła za innymi pasażerami i tyle miała przytomności, iż oddała bilet, którego od niej żądano. Czyniła to machinalnie, naśladując innych.

Gdy jednak towarzysze jej podróży rozeszli się w różne strony, zatrzymała się w niepewności, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

XV.

Maksym Duret, gdy zobaczył, że Joe Smith walczy z policyatem, pośpieszył na dworzec i znikł w tłumie. Dobrze wyliczył czas, przybył na kilka chwil przez odjazdem expressu. Kupił bilet i siadł natychmiast do pociągu. Teraz zaczęła się dla niego najcięższa męka. Musiał w spokoju oczekiwać gwizdka naczelnika stacyi i odgwizdnięcia parowozu. Sąsiedzi jego spoglądali na niego ukradkiem, zdziwieni jego bladością i lekkiem drżeniem, od którego nie mógł się powstrzymać. Zdawało mu się, że wszyscy muszą słyszeć bicie jego serca, tak było ono silne.

Czas upływał dla niego nieskończenie wolno. Bał się ustawicznie, iż Jankes zdoła wszystko wytłómaczyć, zostanie puszczony z przeprosinami i puści się w pogoń za swym więźniem. Wyobrażał sobie, że ślad jego już odnaleziony i stary cowboy pędzi na swych długich nogach i wskakuje do pociągu. Postać jego ukaże się lada chwila u drzwi wagonu.

Wreszcie rozległ się gwizd i pociąg drgnął. Maksym Duret stłumił w sobie oddech... Jeszcze chwila i zostanie ocalony. Pociąg przyśpieszył biegu. Wyjechał już z okopconego poddasza dworca.

Teraz dopiero prezes odetchnął. Twarz jego zarumieniła się trochę. Obezwładniający lęk ustąpił miejsca rozkosznemu uczuciu ulgi. Jeszcze nigdy nie czuł się tak szczęśliwy. Ucieczka jego udała się zupełnie. Opanowały go jednak zaraz niewesołe myśli.

— Umknąłem im — mówił do siebie. — Jestem w drodze na wygnanie... Paryż znikł już z horyzontu... Może już nigdy go nie zobaczę... Zostawiłem tam stanowisko, dzięki któremu mogłem żyć... Mam z sobą sumę stosunkowo małą... Co się ze mną stanie?...

Palcami dotykał się małej flaszeczki, ukrytej w kieszonce kamizelki, którą rano, wychodząc z domu, zabrał z sobą.

— Na to zawsze będzie czas — pomyślał.

Buteleczka ta zawierała bardzo silną truciznę. Gdy interesa jego zaczęły przybierać niepomyślny obrót, wystarał się o nią na wypadek, gdyby musiał umrzeć z honorem. Prezes nie chciał się jednak zabijać — nie dlatego, by się bał śmierci, gdyż był odważny, lecz, by uniknąć pośmiertnych plotek, duma jego bowiem była większą od jego odwagi. Gdyby skandal stał się nieuniknionym, wtedy z dwojga złego wybrałby mniejsze i dobrowolną śmiercią zamknąłby choć w części usta swym nieprzyjaciołom.

— Jeszcze nic nie wiadomo! — pocieszał się. — Jestem silny i w pełnem posiadaniu swych władz umysłowych... Może w nowym kraju, naprzykład w Brazylii, uda mi się zdobyć sobie stanowisko, zebrać majątek...

Prezesowi przyszła jednak teraz na myśl jego siostrzenica.

— Jeżeli powiedzie mi się w Ameryce, znajdę sposób, by ją uwolnić i wtedy przyjedzie do mnie... Jeżeli szczęście nie będzie mi dopisywało, wtedy przytknę ten flakonik do ust i wszystko się skończy... Umrę przynajmniej w dali od Francyi i nikt nic o mnie nie będzie wiedział...

Bilet kupił sobie do Lizbony, gdzie miał przesiąść się na okręt, który zawiózłby go do Południowej Ameryki.

Kilku jego towarzyszy podróży jechało w tym samym kierunku. Poznać ich było łatwo po ciemnej cerze, jasnych krawatach i mnogości biżuteryi. Między tymi nieuniknionymi Brazylijczykami, Argentyńczykami, Chilijczykami i Peruwianami, których można spotkać we wszystkich luksusowych pociągach między Paryżem i Portugalią, jechał także jakiś dyplomata francuski wysłany do Tangeru, pułkownik angielski z żoną, udający się do Gibraltaru, dwie Niemki, których mężowie mieli domy handlowe w Oporto, negr i dwóch gentlemanów wątpliwej narodowości. Wszyscy ci pasażerowie mieli wyniosłe i zimne miny, jakie wypada mieć w luksusowym pociągu. Pod tym względem odznaczał się zwłaszcza negr, który był lodowaty i majestatyczny. Duma gentlemenów o wątpliwej narodowości polegała na udawaniu przesadnego znużenia, jakby na głowach ich spoczywała równowaga mocarstw europejskich lub też trust trustów całej Ameryki.

Wkrótce w wagonie nastąpił pewien ruch. Pasażerowie wstawali i wychodzili z wagonu salonowego. Szli na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Inni zaś powracali już po posiłku i drzemali na pół leżąc, lub też czytali dzienniki. Maksym Duret uznał, iż powinien pokrzepić swe siły. Chociaż nie miał apetytu, pozbył się odrętwienia, które go przykuwało do fotelu i ruszył do stołu.

Gdy powrócił na swe miejsce, zmrużył oczy. Trzy ostatnie noce spędził prawie bezsennie. Pierwsza zajęta była włamaniem się do jego willi, dwie ostatnie przebył w ubraniu na łóżku w towarzystwie Lewisa Jacksona. Męczyły go przykre sny... Był jednak tak zmęczony, iż nie obudził się nawet przy zatrzymywaniu się pociągu i otworzył oczy dopiero w Bordeaux. Obiad jadł późno, bardzo powoli, przedłużając go umyślnie; bał się zostać sam w przedziale, w którym jedno posłanie było dla niego zarezerwowane. Pił czarną kawę, gdy pociąg zatrzymał się w Dax. Gdy ruszano w dalszą drogę, Maksym Duret usłyszał łoskot jakiegoś wielkiego samochodu. Łoskot ten zbliżał się, rósł nadzwyczaj szybko i wkrótce rozległ się przed dworcem. Express jednak przyspieszał już biegu. Prezes wstał wkrótce od stołu.

Wychodził już z *dining car*, gdy o uszy jego obił się znowu ten łoskot. Nie był on jednak już tak wyraźny, tłumił go bowiem stuk kół wagonów po szynach. Zmniejszał się on zresztą i wkrótce ustał zupełnie. Maksym Duret przeszedł już do *sleeping car* i zajął miejsce w swym przedziale. Nie kładł się jednak spać. Wyszedł na korytarz, zapalił papierosa i zaczął spacerować z jednego końca wagonu w drugi. W jednym z nich spał na ławeczce służący wagonu sypialnego, ubrany w bronzowy mundur ze złotemi wyszywkami. W Bayonne pociąg zatrzymał się na pięć minut. Służący otworzył oczy, lecz gdy tylko ruszono, zamknął je znowu.

W chwili tej Maksymowi Duretowi wydało się, że w stronie dworca huczy znowu ogromny samochód, lecz zaraz wszystko się uciszyło.

— Cóż to za samochody na każdej stacyi — pomyślał. — Cóż one do dyabła tam robią?

Nagle jawiła mu się myśl, od której wstrząsł się cały. Serce zabiło mu silniej.

— Piotr goni mnie na jednej ze swych wyścigowych maszyn!

Upuścił papierosa i chwytając się za poręcz poprzeczną przy oknie, przytknął czoło do szyby. Nogi uginały się pod nim. Wytężał wzrok, lecz w ciemności migotały tylko przed nim znikające światła Bayonne.

— Mam gorączkę... — szepnął do siebie. — Samochód widziałem w Dax, a te inne istnieją tylko w mej wyobraźni... A jednak!

Ręką wytarł sobie czoło.

— A jednak, coby było w tem niemożliwego, gdyby on zaczął mnie gonić?... Jest to najzupełniej możliwe... Joe Smith dowiódł swej identyczności i uprzedził zaraz o wszystkiem Juliana Maixenta.. Jednocześnie i Piotra... Ah! dlaczego ja o tem nie pomyślałem wcześniej?

Wydało mu się to teraz zupełnie pewnem.

Winienem był to przewidzieć — rozmyślał dalej. — Gdybym był zwyczajnym przestępcą, zawiadomionoby policyę, która zatelegrafowałaby o mnie na wszystkie strony i na pierwszej stacyi zostałbym aresztowany... Ci panowie jednak chcą uniknąć skandalu ze względu na Kamillę... Przytem widzą dobrze, że dowody, jakie mają przeciwko mnie, nie wystarczyłyby do skazania. Jednem słowem nie chcą odwołać się do sądu... I dlatego, by schwycić mnie, puścili się na wyścigi z expressem...

W Biarritz pociąg zatrzymał się znowu. Maksym Duret począł nadsłuchiwać z zapartym oddechem. Nie słyszał nic. Pociąg ruszył znowu. W Saint Jean-de Luz był znowu przystanek. Z zewnątrz nie dochodziło żadne podejrzane echo.

Nagle w oddali zahuczał samochód i słychać było, jak zbliża się jakimś szalonym pędem. W chwili gdy wagony znów zakołysały się na kołach, wpadł na plac przed dworzec.

Maksym Duret dojrzał jeszcze, jak się zatrzymał na chwilę, zawrócił i pomknął naprzód.

Nędznik widział nawet dwie sylwetki osób siedzących w automobilu. Nie mógł jednak ich rozpoznać. Osobistość szofera nie przedstawiała mimo to dla niego żadnej wątpliwości.

„To Piotr Cartelegue... A ten drugi?... Może Julian Maixent...“

Samochód znikł w ciemnościach i echo jego zamilkło w oddali. Wyprzedził już express. Maksym Duret drżał całem ciałem.

„Trochę zimnej krwi — powtarzał sobie, starając się zapanować nad sobą. — Nie dam się ani żywym ani martwym... Jeżeli mam umierać, niech mnie śmierć zabierze zdaleka od Francyi, by nikt się o tem nie dowiedział...“

Namyślał się przez chwilę.

„Znajdą mnie w Hendaye... Tym razem może przyjadę na czas i wskoczą do pociągu.. Już go wyprzedzili...“

Rozmyślał. W korytarzu był tylko on i śpiący na ławce służący.

Prezes podszedł szybko do drzwi i otworzył je. Potem cofnął się trzy kroki wstecz i krzyknął głośno.

Służący obudzony nagle zerwał się szybko z ławki.

— Co?...Co się stało?... — zawołał.

— Na pomoc! — wołał Duret. — Jakiś pasażer wypadł!...

Służący podskoczył do sygnału bezpieczeństwa i pociągnął za rączkę. Pociąg przejechał jeszcze kilkaset metrów, zwalniając ciągle biegu i wreszcie zatrzymał się. Pasażerowie, którzy nie spali jeszcze, powysuwali się zaniepokojeni z swych przedziałów. Służący z *sleeping-caru* wyskoczył na tor i pośpieszył ku prowadzącemu pociąg, który biegł z latarnią w ręku. Prezes stał na schodkach wagonu.

— Jakiś pasażer wypadł przez drzwiczki! — wołał służący.

— Do stu tysięcy! — klął prowadzący. — Trzeba być takim głupcem i otwierać drzwi podczas jazdy.

I obydwaj pobiegli wzdłuż szyn do miejsca, w którem miał zdarzyć się wypadek. Maksym Duret zeszedł na tor, a za jego przykładem poszło jeszcze kilku pasażerów.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Rząd środkowy odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko popularnego lokalu rozrywkowego w Krakowie.

```
            □
          — □ —
        — — □ — —
          — □ —
      — — — □ — — —
    — — — — □ — — — —
      — — — □ — — —
          — □ —
          — □ —
          — □ —
      — — — □ — — —
    — — — — □ — — — —
      — — — □ — — —
          — □ —
            □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ryba. 3. Zjawisko na niebie. 4. Wykrzyknik. 5. Wyrób cukierniczy. 6 Utwór Wyspiańskiego. 7. Rzeka, pamiętna z historyi starożytnej 8. Część twarzy. 9. Antor popularnych piosenek w Krakowie. 10. Imię żeńskie 11. Nowoczesny teatrzyk. 12. Powieść Gruszeckiego. 13. Część ubioru. 14. Imię żeńskie. 15. Spółgłoska.

Figielek literacki.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z poniżej umieszczonego zdania wyjąć z każdego wyrazu po jednej literze i utworzyć z nich imię i nazwisko współczesnego polskiego poety:

Prenumeratorzy! Rozwiązujcie tę malutką szaradę ostrożnie! Postępujcie przezornie, pomału, a odgadniecie!

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Groby, bzy, Tuła, konie, Wid, Pol.

Kwadrat magiczny.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
a	a	a	a
b	b	f	f
r	r	r	s

Znaczenie wyrazów: 1 Instrument muzyczny. 2. Dopływ Dunaju 3. Inaczej parafia. 4. Góra w Syryi u źródeł Eufratu.

Szarada.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Pierwsza, to mistrz słowa
Druga zaś litera,
Całość nazwę tańca
Znanego zawiera.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Bzura, syn, cele, as, zieuie, Kiel.

Łamigłówka.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Początkowe litery odpowiednio uzupełnionych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą jedną z nowości repertoaru dramatycznego polskiego.

— an
— ra
— it
— ie
— ga
— ak
— li
— is
— za
— oś
— et
— wa
— al
— an
— it
— ch

Szarada.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

— Wy dziś w domu?!... Co ja słyszę
Znów przy pracy, przy robocie?
— Tak! Przynajmniej mam tu ciszę
Nic nie wskóram dziś na słocie.
Wszak deszcz troszkę *trzecie* — *wtóre*
Chmurki idą, psia pogoda
A gdy wyjdę, mam już burę,
Bo na stancyi rowa moda.
I tak jestem bez nikogo,
Oprócz ciebie, mój kochany
Jednak nie jest znów tak srogo,
Choć jestem zapracowany.
Pierwsze!... Jedno tylko złości
I napewne przyznasz racyę,
Brak dozoru, brak *całości...*
Całość, poszła na kolacyę!...

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków

Z podanych liter zestawić znane polskie przysłowie:

a, a, a, c, c, c, d, d, e, e, e, h. h, h, i, i, j, l, ł, m, m, p, r, u, u, u, w, y, y, z, z, z.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Buty, harfa, klocki, bańki.

Szarada.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Pierwsze we Włoszech cicho sobie płynie
Drugie i trzecie zaś kupcowi służy
Całością zwykle starszy wiekiem słynie
Gdy brak jej komu, nadarmo się chmurzy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S Kowalówka, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Żydek w biegu, ład sąsiedzi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Guy de Maupassanta:* **Tajemnicza nieznajoma.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego.